

**KAREN LEABO**

# **Mroczna tajemnica**



***Harlequin***<sup>®</sup>

Toronto • Nowy Jork • Londyn  
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg • Istambuł  
Madryt • Mediolan • Paryż • Praga • Sofia  
Sydney • Sztokholm • Tajpej • Tokio • Warszawa

## PROLOG

Zmrok zapadł wcześniej w ten niemiły marcowy dzień. Faith Kimball była już spóźniona. Włączyła długie światła i próbowała przez przednią szybę wypatrzeć skręt z szosy na teren kempingu.

Każdy motel w pobliżu Caddo Lake był w ten weekend przepełniony. Podobno odbywały się jakieś zawody wędkarskie. Dobrze, że wzięła ze sobą sprzęt kempingowy, choć nie była zachwycona perspektywą rozbijania namiotu i gotowania kolacji po ciemku.

Kierownik ostatniego motelu, w którym próbowała się zatrzymać, powiedział jej, że tereny kempingu Black Cypress leżą jakieś pięć kilometrów stąd, w kierunku drogi FM 23. Przejechała już ponad pięć kilometrów i nic. Chwileczkę... Co jest na tej tablicy?

Zwolniła, zbliżając się do ledwie widocznego napisu, na którym farba łuszczyła się ze starości. Tak, to było to!

Radość nie trwała długo. Wskazaną przez znak, wąską żwirówką pędziła w jej stronę ciężarówka bez świateł. Przez głowę Faith przemknęło kilka myśli naraz. Boże, czy ten idiota jej nie widzi? Może zatrzeć? Albo odbić w bok, do rowu... W końcu nie zrobiła nic, bo wydawało się, że ciężarówka ją ominie. Ta jednak skręciła w ostatnim momencie i uderzyła czołowo w jej samochód. Kierowca nawet nie próbował hamować.

Samochód Faith okręcił się raz i drugi wokół własnej osi,

po czym przekoziołkował. Poczuła jeszcze, jak uderza głową w przednią szybę, potem ucisk na lewym udzie. To wszystko, żadnego bólu.

Z dziwną obojętnością zastanawiała się, czy już umiera. Nie bała się, myślała o tym, czego w życiu nie zdążyła zrobić. Nie wyszła za męża, nie ma dzieci, nie skończy pracy doktor-skiej; nie pożegnała się ze swoją matką. W końcu odpłynęła w nicość.

Wydobył ją stamtąd czyjś głos.

- Obudź się, do diabła... Trzeba odpiąć pas! Szanowna damo, przecież widać, że pani żyje! Proszę się obudzić!

Posłusznie otworzyła oczy. Teraz dopiero poczuła ból i strach. Jej ubranie było przesiąknięte krwią, dusił ją jakiś dym w płucach. Kaszlnęła; w ustach jeszcze wyraźniejszy smak krwi.

O Boże, przecież nie chciała umierać!

- Proszę odpiąć pas - rozkazał znowu głos.

Włożyła w to bardzo wiele wysiłku, ale udało się.

- Teraz proszę podać mi rękę. - Głos brzmiał już łagodniej. Nieznajomy, do którego należał, wiedział, że Faith go słucha.

Uderzyła ją fala gorąca; tuż obok coś musiało się zapalić. Zamykając oczy przed gryzącym dymem, wyciągnęła rękę. Zagryzła usta, żeby nie krzyczeć; nieznajomy ciągnął ją, nawet nie wiedziała, czy w górę, czy w bok. Wszystko zagłuszał przeszywający ból.

- No, już dobrze... - pocieszał nieznajomy łagodnym tonem, kiedy odłamki przedniej szyby kaleczyły jej odstonięte nogi. Gdy tylko znalazła się na zewnątrz poskręcanego stosu żelastwa, które kiedyś było jej samochodem, wybawca pochwycił ją na ręce i zaczął biec jak szalony. W krótką chwilę później ogłuszająca eksplozja wyrzuciła ich oboje w powietrze. Upadek na ziemię zdławił w piersiach Faith resztki tchu;

ogarnęła ją nieprzenikniona ciemność. Obudziła się z dziwnym odczuciem; ktoś przyciskał swe twarde usta do jej ust, wdychając w jej płuca życiodajne powietrze. Odepchnęła go od siebie; kaszłała jeszcze dławiącym dymem, ale oddychała samodzielnie.

- Dzięki Bogu - mruknął nieznajomy. - Rozluźnij się, odpoczywaj. Pomoc zaraz tu będzie. Zatrzymałem samochód na drodze; kierowca miał telefon komórkowy i zadzwonił na pogotowie - mówił do niej niskim, uspokajającym głosem. Silne ręce delikatnie badały jej ciało w poszukiwaniu urazów.

Na krótką chwilę otworzyła oczy, żeby zobaczyć, jak wygląda jej wybawca. Zdjął z głowy jakąś opaskę; zapamiętała dość długie, ciemne włosy, głęboko osadzone oczy, prosty nos i kwadratową linię podbródka z podłużnym dołkiem pośrodku.

Zawiązał opaskę wokół jej uda.

- Boli - mruknęła niewyraźnie.

- Wiem, że boli, kochanie - powiedział, odgarniając z jej twarzy zwinięte pasmo blond włosów. - Słyszysz ten sygnał? Przyjechała karetka. - Wstał i odwrócił się.

- Zaczekaj. Zaczekaj! - krzyczała za nim ostatkiem sił.

- Nie zostawiaj mnie! Kim jesteś?

Nieznajomy nawet nie zwolnił kroku.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wstawał jasny i ciepły kwietniowy poranek. Jones Larabee nie miał dziś żadnych problemów poza tym, czy iść łowić ryby, czy poprzestać tylko na opalaniu. Tak przynajmniej sądził, dopóki nie wyjrzał przez okno swego domku. Poprzez moczary zmierzało w jego stronę kanoe Miss Hildy.

Zawsze zastanawiał się, dlaczego ono się nie wywraca. Kobieta w nim siedząca była szersza niż łódka, która teraz kolebała się niepokojąco na boki. Hildy jednak zawsze udawało się bez kłopotów przybić do brzegu.

Zszedł nad wodę, żeby ją powitać. Ta kobieta wtrącała się do jego życia i troszczyła o niego bardziej niż kwoka o sła-bowite pisklę, aleją lubił. Pochodziła ze szczepu Indian Cad-do, którzy osiedlili się w tych stronach wieki temu; była sławną w okolicy znachorką. Niektórzy nie darzyli jej sympatią, inni się jej bali, ale każdy mieszkaniec pogranicza Teksasu i Luizjany cenił jej wiedzę. Rozległe tutejsze bagna łącznie z ich fauną i florą nie miały dla niej tajemnic.

- Co słyhać, Jones? - spytała, przestępując ociężałe krawędź kanoe. Błotnista woda tuż przy brzegu zmoczyła jej stare, połatane tenisówki.

- Witaj - odparł. Chwycił wygięty dziób łodzi i wciągnął ją głębiej na łąd. - Cóż cię tu sprowadza?

- Człowiek czasami może odwiedzić przyjaciela bez powodu, prawda? - Sięgnęła w głąb łodzi i wyjęła dwa plastikowe wiadra z różnymi skarbami, które znajdowała w rozcią-

gającym się wkoło naturalnym ogrodzie. - Po ostatnich deszczach moje zbiory są tak obfite, że muszę się ich pozbyć. Nie sprzedam wszystkiego na straganie.

- Jeszcze nie zjadłem tego, co mi przywiozłaś w zeszłym tygodniu. - Wziął od niej ciężkie wiadra.

- Widać jesz za mało zieleniny - strofowała go łagodnie.

- A herbata? Mam nadzieję, że pijesz moją specjalną herbatę?

- Oczywiście. Już się prawie skończyła.

-/A widzisz. Bardzo dobry powód do wizyty. Przywiozłam duży słoje. - Zmierzała w kierunku leśnej chaty z grubo ciosanych pni, obok której rósł wielki cyprys, dalej sosny i dęby.

Kiedy wiele miesięcy temu Jones przybył tutaj, Hildy wywęszyła go natychmiast, jak myśliwski pies stado kaczek. Podobno chciała zobaczyć, kto będzie jej najbliższym sąsiadem, ale nie bardzo w to wierzył. Nie wiedział, gdzie mieszka - prawdopodobnie zaszyła się gdzieś w głębi moczarów, gdzie obcy człowiek mógłby się zgubić i błąkać całymi dniami. Na pewno mieszkała daleko od niego. Ciekawska i tyle.

Od czasu pierwszej wizyty odwiedzała go raz w tygodniu, nie czekając na zaproszenia. W końcu polubił jej prostą filozofię człowieka żyjącego w bliskim kontakcie z naturą i uznał Hildy za swoją przyjaciółkę.

Jedyną przyjaciółką. Nikt inny spośród tubylców nie pojawiał się w sąsiedztwie jego chaty i to mu odpowiadało.

- Naprawdę przypląnęłam z innego powodu - powiedziała, sadowiąc się ciężko na krześle. - Szuka cię jakaś dziewczyna.

Jones zeszywniał.

- Kim ona jest? - zapytał. Kto to mógł być oprócz Mary Lynn, pomyślał.

Zrobił bardzo wiele, aby minione życie zostawić poza sobą. Nie starał się tu o prawo jazdy ani o skrytkę pocztową.

Nie miał telefonu. Sprzedał samochód, żeby nawet numery rejestracyjne nie łączyły go ze światem. Łódź, którą wynajął razem z domkiem, była zarejestrowana na cudze nazwisko. Jak ktokolwiek mógł go tu znaleźć?

- Ładniutka ta mała - mówiła Hildy. - Blondynka, kręcone włosy.

Odetchnął. To nie mogła być Mary Lynn. Jej włosy były prawie tak czarne, jak włosy Hildy.

- Widziałam ją u Pete'a - ciągnęła Indianka. - Miała przy sobie twoją zieloną bawełnianą chustkę, prawie w strzępach. Pokazuje ją komu się da i pyta o właściciela.

Jones uśmiechnął się lekko.

- Ach, chyba wiem, kto to może być. - Był prawie pewien, że to niedoszła ofiara wypadku, którą wyciągnął z płonącego samochodu parę tygodni temu. Wędrował sobie po lesie, kiedy usłyszał huk zderzenia. Zwykle nie mieszał się do spraw innych ludzi, ale tu chodziło o życie.

Udzielił jej pierwszej pomocy, sprowadził karetkę, po czym oddalił się, jak mógł najszybciej. Nie potrzebował, żeby jakaś obca kobieta napastowała go, okazując swoją wdzięczność.

- Nic jej nie powiedziałaś, prawda? - zapytał Hildy.

- Nie. Przecież wiem, że byś tego nie chciała.

Widział, że jego przyjaciółka aż kipi z ciekawości, ale nie powiedział jej o tamtej historii. Nie czuł się bohaterem i nie zależało mu na cudzym uznaniu.

Obiecał Hildy, że zje przywiezioną zieleninę i będzie pił jej herbatę, po czym ponaglił ją do drogi. Wiedział, że zamierza sprzedawać swoje produkty na przydrożnym straganie. To stanowiło jej jedyny dochód. Od niego nigdy nie przyjęłyby pieniędzy.

Gdy odpłynęła, powrócił myślami do dziewczyny o anielskiej twarzy, po którą śmierć wyciągała już rękę. Pamiętał jej

skórę, białą wtedy jak pióro czapli. Cieszył się, że wyzdrowiała. Nie chciał jednak za nic w świecie, żeby go odnalazła.

Faith studiowała niezbyt dokładną mapę, którą narysował jej człowiek zarządzający terenem kempingu. Podniosła wzrok i rozejrzała się po okolicy. Nie po raz pierwszy szukała kogoś, do kogo nie trafiało się, znając nazwę ulicy i numer domu. Pierwszy raz jednak robiła to, klucząc przeciekającą łódką pośród nie kończących się moczarów.

Tuż przed nią wznosił się potężny cyprys, rozłupany na pół jakby siekierą olbrzyma. To miał być jeden z drogowskazów. „Kiedyś trafił w niego piorun”, opowiadał pan Hoady. Zadowolona z siebie skrzyła w zaznaczoną na mapie „wodną uliczkę”, zwalniając napęd motorówki do minimum. Pod wodą mogły znajdować się wystające kłody drzew i inne przeszkody.

Kanał był na szczęście dobrze widoczny. Porastające go lilie wodne rozsunęły się na boki, jakby niedawno przepływała tędy inna łódź. Oparła plecy o siedzenie, próbując się odprężyć.

Odkąd parę miesięcy temu zaczęła zbierać materiał do swej pracy doktorskiej, nauczyła się cieszyć krajobrazem i dźwiękami, jakimi przemawiały te bagna. Chłoneła ich zapach, podziwiała nie znane sobie stworzenia i ludzi, którzy tu mieszkali. Szczególnie ludzi. Stanowili jakby odrębną rasę. Jones Larabee, o którego ekscentrycznej naturze wiele usłyszała, był okazowym przykładem. Z niecierpliwością dążyła do spotkania z tym intrygującym mężczyzną.

Zarządzający kempingiem Hoady Fromme próbował jej wyperswadować ten zamiar. Mówił, że Larabee to człowiek trudny w kontaktach z innymi, samotnik, i to z gatunku tych mniej sympatycznych. Faith miała na ten temat własne zdanie. Ludzie żyjący na pustkowiach lubili koloryzować swoje opo-



wieści, szczególnie gdy trafili na chętnego słuchacza. Uważała ponadto, że człowiek, który uratował ją, narażając własne życie, nie może być aż tak zły.

Zresztą nawet gdyby Hoady miał rację, zamierza dać panu Larabee nową chustkę i podziękować mu za to, co dla niej zrobił. Jeśli zaś okaże się, że ten mężczyzna nie jada żywcem swoich gości, może nakłoni go do mówienia i poprosi, żeby dał się sfilmować. Tutejszy pustelnik byłby ciekawym obiektem badań. Niewykluczone, że to jeden z ostatnich przedstawicieli lokalnego folkloru, ginącego pod naporem wdzierającej się wszędzie cywilizacji.

Przed jej oczami wyrósł następny „drogowskaz”. Było to olbrzymie pole lili wodnych po lewej stronie kanału. W drugiej połowie lata pośród ogromnych, poduchowatych liści ukaza się białe, woskowe kwiaty, wielkie jak talerze. Skręciła w jeszcze węższy kanał, nadal zmniejszając prędkość. Posuwała się bardzo powoli, pochylając głowę pod zwieszającymi się z drzew wąsami hiszpańskiego mchu.

Nigdy jeszcze nie była w takim gąszczu. Wokół robiło się coraz ciemniej, a nieznanne odgłosy z brzegu nie brzmiały już tak przyjaźnie. Walczyła z przemożnym pragnieniem wyrwania się stąd z powrotem tam, gdzie świeciło słońce, ale jeśli nie chciała się cofać, musiała znaleźć jakieś odpowiednie miejsce, żeby obrócić łódź.

Nagle kanał rozszerzył się i znalazła się na zalanej słońcem otwartej przestrzeni wodnej. Pośrodku wznosiła się mała wysępka, na której zobaczyła najładniejszy mały domek, jaki kiedykolwiek widziała.

Chata z grubych sosnowych bali stała na wysokich, drewnianych słupach. Miała stromy dach, otaczała ją szeroka weranda. Z przyjemnością wyobraziła sobie, że siedzi na tej werandzie w bujanym fotelu ze szklanką lemoniady w rękę. Prowadzące do wejścia schody ozdobione były kwitnącą białą

i różowo gęstwiną geranium, a przy zwisającym z sąsiedniego drzewa karmniku uwijała się para dzięciołów.

Bajkowy widok dokładnie zaprzeczał temu, co Faith wyobrażała sobie na temat chatki pustelnika. Jeśli tu nie mieszka Jones Larabee, zapyta jej mieszkańców, jak go znaleźć.

Przybiła do brzegu i przycumowała łódkę do wkopanego w ziemię palika. Weszła po schodkach na werandę i już podnosiła rękę, żeby zastukać, kiedy drzwi otworzyły się nagle, omal jej nie wywracając. Gospodarz cofnął się gwałtownie, zaskoczony widokiem obcej kobiety na progu swego domu. W jednej ręce trzymał wędkę, w drugiej pudło ze sprzętem do łowienia ryb. Miał na sobie tylko kuse dżinsy z obciętymi nogawkami.

Wypuszczone z ręki pudło uderzyło z hukiem o deski werandy.

- Kim pani jest? - zapytał ostro.

Znam ten głos, pomyślała Faith. Nie mogła się mylić. W gniewie tembr głosu tego człowieka brzmiał identycznie; kazał jej wtedy rozpiąć pas. Niewiele pamiętała z jego twarzy, ale głos utkwiał jej mocno w pamięci. Może tylko wołała ten inny ton, łagodniejszy.

Teraz daleki był od łagodności.

Była przyzwyczajona do okazywania niechęci przez tutejszych ludzi w pierwszym kontakcie z obcym. Posłała mu najpromienniejszy ze swoich uśmiechów,

- Nazywam się Faith Kimball, panie Larabee. Przypłynęłam, żeby coś panu oddać. - Wyciągnęła rękę z nową, jasnozieloną chustką. - Zamiast tamtej, którą zabandażował pan kiedyś moją nogę. Sanitariusz musiał ją odciąć. Oczywiście chustkę, a nie nogę - dodała, śmiejąc się nerwowo. Czuła, że język jej się płacze.

Mężczyzna spoglądał na nią z nie ukrywaną wrogością.

- Czy pani ma dobrze w głowie?

Teraz zaczęła mieć wątpliwości, czy rzeczywiście trafiła pod właściwy adres.

- Przecież to pan jest Jones Larabee, prawda?

- Nie.

Wiedziała, że skłamał. Wystarczająco długo studiowała ludzkie reakcje w różnych sytuacjach, żeby mieć pewność.

Przebiegła wzrokiem po jego twarzy. Pasowała do zapamiętanego obrazu - ciemnobrązowe włosy, które sięgały mu prawie do ramion, głęboko osadzone, orzechowe oczy, prosty nos i kwadratowy podbródek z podłużnym dołkiem pośrodku. I wspaniały tors. Oczywiście nie widziała tego wtedy; była zbyt bliska śmierci. Dostrzegła to teraz.

- Zatem nie jest pan tym mężczyzną, który wyciągnął mnie z samochodu, kiedy zderzyłam się z ciężarówką na FM 23? - zapytała ostrożnie. - Mogłabym przysiąc, że to był pan.

Jej rozmówca spuścił wzrok. Była pewna, że patrzył na bliźnię na jej nodze.

- To pomyłka - odpowiedział chłodno. - Czy byłaby pani uprzejma opuścić już to miejsce?

Mimo ostrzeżeń zarządcy postanowiła tak łatwo nie ustępować. Wyciągnęła z kieszeni starą chustkę, podartą i spłowiałą, z widocznymi jeszcze śladami krwi.

- Czy pan tego nie poznaje?

- Jeśli nie wyniesie się pani z mojego...

- Ach, rozumiem. Pewnie obawia się pan, że pozwę pana do sądu albo coś w tym rodzaju. Proszę się nie obawiać. Lekarz, który mnie opatrywał, twierdził, że to pan uratował mi życie, zakładając opatrunek uciskowy i stosując metodę usta-usta.

Wreszcie na jego twarzy odbiło się inne uczucie poza gniewem. Jakby wrócił pamięcią do tych pełnych napięcia chwil, kiedy razem ze swym oddechem wprowadzał życie do jej ciała; w zamyśleniu przesunął końcem języka po dolnej wardze. Nie przyznał się jednak, że był jej wybawcą.

Faith uznała, że musi zrezygnować. Każdy ma prawo do prywatności, pomyślała. Wcisnęła mu chustkę do ręki.

- Proszę to jednak przyjąć. Podkreśli ten odcień zieleni w pana oczach. - Zanim zdążył zaprotestować, odwróciła się i zeszła po schodach. Gdy zbliżała się do łodzi, jego spojrzenie jak fala ciepła spoczęło na jej karku.

Dziwny człowiek, mówiła sobie w myśli, spychając łódkę na wodę. Jakie okoliczności sprawiły, że porzucił normalne życie w społeczeństwie i wybrał samotność na bagnach? Może jednak bezpodstawnie dramatyzuję to wszystko? Może to jest jego normalne życie i nie zna innego społeczeństwa?

Złapała za sznurek rozrusznika i pociągnęła. Silnik warknął cicho, ale nie zapalił. Ujęła mocniej koniec, żeby pociągnąć jeszcze raz, tym razem z większą siłą. Rezultat był podobny.

W końcu z determinacją uklękła na rufie i złapała starter obydwojema rękami. Pociągnęła tak mocno, jak tylko mogła, i kawałek sznurka został jej w ręku. Z rozmachu przechyliła się przez burtę i wpadła do płytkiej, błotnistej wody.

To wszystko nie byłoby aż tak irytujące, gdyby obyło się bez świadków. Teraz jednak siedziała z rękami wbitymi w muł, a Jones Larabee obserwował ją z podnóża schodów z niewątpliwym rozbawieniem.

- Ma pani jakieś problemy? - zapytał niewinnie.

Niewiele brakowało, by utraciła kontrolę nad narastającą wściekłością. Na końcu języka miała już ostrą odpowiedź, ale przeważył zdrowy rozsądek. Może to dobry los daje mi drugą szansę rozmowy z tym humorzystycznym panem Larabee, pomyślała.

- Wygląda na to, że silnik nie działa - powiedziała, wstając i oskrobując resztkami starej chustki nogi z lepiałego się błota. - Będę musiała chwycić za wiosła, chyba że... Umiałby pan to naprawić?

Pokręcił głową, nie zbliżając się ani o krok.

- Nic nie wiem o silniku motorówki poza tym, jak się dodaje gazu.

To dziwne, pomyślała. Każdy, kto wychował się nad wodą, znałby się lepiej na motorówkach.

- Gdzie pani pożyczyła tego śmiecia? - zapytał.

- U zarządcy kempingu Black Cypress.

Larabee pokiwał głową.

- Hoady. To wszystko wyjaśnia. - Nie kontynuował tematu.

- Widzi pan jakieś wyjście z tej sytuacji? - zapytała.

Po chwili zastanowienia podjął decyzję. - Zamierzałem popłynąć na ryby. Znajdę Hoady'ego i przyślę go tutaj. Powinien naprawić ten silnik albo panią odholować.

Faith miała nadzieję na inne rozwiązanie.

- Może pan mógłby mnie pohołować?

Widać było, z jakim niesmakiem przyjął jej sugestię.

- Moja łódź jest za duża, żeby zmieścić się w kanale, którym pani tu przypłynęła. Używam szlaku, który prowadzi do zupełnie innej części jeziora. To bardzo daleko od terenów kempingowych.

- To może pan zadzwoni do zarządcy.

- Zadzwoniłbym, gdybym miał telefon.

Była zrozpaczona. Wcale nie miała ochoty czekać tu przez cały dzień, aż Hoady Fromme raczy przybyć na ratunek. Zresztą i tak nie ufała temu niedużemu mężczyźnie o rozbieganych oczach.

- Proszę mnie zabrać ze sobą - powiedziała. - Może mnie pan wysadzić przy pierwszej okazji, w pobliżu jakiegokolwiek drogi czy domu z telefonem. Dalej sobie poradzę.

Jones westchnął, pokonany.

- Dobrze, ale nie wejdzie pani do mojej łodzi w tym stanie. - Spojrzał z dezaprobatą na widoczne wciąż ślady błota na jej ciele i ubraniu.

- Nie przypuszczam, żeby wpuścił mnie pan pod swój prysznic.

- Za domem jest hydrant z węzem. Woda jest zimna, ale czysta. - Uznał, że na razie skończył z nią rozmowę i odwrócił się tyłem.

- Niech pan poczeka... Proszę powiedzieć to jeszcze raz. Zatrzymał się i popatrzył na nią przez ramię.

- Co mam powiedzieć?

- O tym wężu.

- Jest na tyłach domu. Mówiłem, że woda jest zimna, ale...

- O właśnie! Pan nawet nie pochodzi z tej części stanu, prawda? - obwieściła triumfalnie, dumna ze swojej umiejętności dedukcji, ale z drugiej strony nieco rozzarowana. Jones Larabee nie trafi do jej pracy doktorskiej.

- Moja pani, cóż pani opowiada?

- Mam na imię Faith. Mówię, że pan nie wychował się w tej okolicy.

W jego oczach ukazał się wyraz paniki.

- Jak, u diabła, wpadła pani na taki pomysł?

- Pana akcent, pana dykcja - odpowiedziała z niezłomnym przekonaniem. - Nie wyczulony słuchacz może nie zwróciłby na to uwagi, ale ja prowadziłam badania nad najdrobniejszymi różnicami w dialektach Teksasu. To wielka sztuka. W naszym ruchliwym społeczeństwie dialekty mieszają się coraz bardziej. Tak się składa, że gwarę znad Caddo Lake znam wyjątkowo dobrze. Całkiem inaczej wymówił pan słowo „woda”.

Jego oczy zwięzły się w szparki.

- Może sobie pani myśleć, co się pani podoba. - Odwrócił się w stronę schodów, gdzie zostawił wędkę, po czym skierował się do małej szopy na łodzie, która znajdowała się z boku domu.

Na pewno mam rację, pomyślała. Pan się tu po prostu ukrywa, panie Larabee. Czy może być lepsze miejsce? Wyciągnęła szybko swoją torbę i neseser z kamerą wideo z unieruchomionej łodzi i pobiegła na tyły domu, żeby się opłukać.

Gdy Jones znalazł się wewnątrz szopy, z dała od bystrego spojrzenia błękitnych oczu Faith i jej jeszcze bystrzejszych uszu, odetchnął głęboko parę razy, by serce powróciło do normalnego rytmu. Wystraszyła go na śmierć. Był prawie pewien, że został rozpoznany.

To mogło się zdarzyć. Dallas jest wielkim miastem, ale przez pewien czas był dość popularny, pokazując się w wielu salach sądowych przed oczami setek ławników. Raz nawet jego podobizna ukazała się w „Morning News”; występował jako obrońca w głośnym procesie o defraudację.

Faith na szczęście nie rozpoznała jego twarzy. Nie pasował jej tylko akcent. Od czasu przeniesienia się w te strony ćwiczył celowo rozwlekły, charakterystyczny dla południa sposób wymowy, żeby się nie wyróżniać. Prawie wszyscy dawali się oszukać. Nikt przedtem nie kwestionował jego pochodzenia poza Faith.

Uparte stworzenie z tej malej, myślał. Ale jaka jest ładna z tą okragłą twarzą aniołka otoczoną chmurą jasnych loków, które wiją się z tyłu aż do połowy pleców. Nawet cienka, nie zagojona do końca blizna na czole nie ujmowała jej uroku. Na początku naprawdę jej nie widział, przyciągnięty żywym, inteligentnym wyrazem błękitnych oczu i pełnym ukrytych obietnic wygięciem pełnych ust.

Trudniej było nie zauważyć mocno zaczerwienionej blizny na smukłym udzie. Z czasem jednak i ona się zagoi, stanie się tylko lekką wypukłością na gładkiej, wrażliwej skórze. Wyobraził sobie, że gdyby dotknąć jej palcami...

Ogarnęło go seksualne podniecenie i natychmiast potem poczucie winy. Jak śmiał nawet pomyśleć o innej kobiecie?

Być może nie kochał Mary Lynn, w każdym razie nie tak, jak powinien ją kochać przyszły mąż, ale była mu bardzo bliska. Pamiętał jej niezmienną lojalność w tamtych ciężkich chwilach. Prawie nie odstępowała od jego boku. Jeśli nawet nie może być z nią teraz i nigdy jej już nie zobaczy, powinien pozostać wierny Mary Lynn, nawet w myślach.

Kiedy Faith otworzyła drzwi szopy na łodzie, przemoczona do suchej nitki, ale oczyszczona z bagiennej błota, myśli o Mary Lynn rozwiały się jak zdmuchnięte. Na miły Bóg, normalny mężczyzna musiałby być nieboszczykiem, żeby nie zareagować na taki widok. Jasnobłękitna bawełniana koszulka Faith przylegała do każdej krzywizny jej krągłych, pełnych piersi.

Cóż za szczególna kombinacja, myślał. Ciało mogłoby skusić świętego, a na twarzy niewinny uśmiech dziecka, które cieszy się pierwszym dniem wakacji.

Musi się jej pozbyć jak najszybciej, póki potrafi jeszcze kontrolować swoje reakcje.

Faith z widoczną wprawą weszła do łodzi i umieściła na rufie swoją torbę. Oraz tajemniczo wyglądający plastikowy pojemnik.

- Ładna łódź - powiedziała, wybierając cumę rufową i klarując ją w płaski krąg. - Co ma dzisiaj brać, okoń czy okoniopstrąg?

- Jedno i drugie - odpowiedział. Do diabła, nawet nie był pewien, czy umiałby je rozróżnić. Zaczął w ogóle łowić dopiero miesiąc temu, kiedy się ociepliło. Aż go ręce swędziały, żeby coś robić; znalazł sprzęt właściciela chaty i postanowił spróbować.

Wyniki miał mizerne, ale mógłby polubić ten sport. Nic dotąd nie dawało mu takiego odprężenia, jak widok przynęty szybującej nad wodą i zanurzającej się wolno w zielonej toni. Łódź kolebała się wtedy leciutko, a słońce przyjemnie grzało w plecy.



- Lubisz wędkowanie? - zapytał, wycofując łódź z hangaru i kierując ją w stronę kanału.

- Owszem... Chociaż ostatnio tego nie robiłam... od śmierci taty.

Jak szybko człowiek zmienia czasem nastawienie do sytuacji, myślał Jones. Czuł prawie panikę, kiedy ta obca kobieta wtargnęła na jego teren, zadawała pytania. Myślał tylko o tym, jak się jej pozbyć. Teraz uznał, że nie jest aż taka groźna. Mimo że jego ciało reagowało na nią tak niepokojąco, z góry cieszył się z możliwości przebywania przez jakiś czas w towarzystwie istoty odmiennej płci. Ciekawe, ile to już czasu upłynęło od chwili, kiedy rozmawiał z jakąkolwiek kobietą poza Hildy?

Postanowił nie spieszyć się do przystani. Nawet jeśli nie będą już więcej rozmawiali, nacieszy się trochę bliskością tej ładnej blondynki. Tylko ten jeden raz zrobi mały wyłom w narzuconej sobie izolacji. To przecież niczym nie grozi, jeśli Faith nie będzie zadawała pytań.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Faith z uczuciem szczególnej fascynacji obserwowała swego towarzysza w łodzi. Jones Larabee nie był wprawdzie tubylcem, ale widać było, że dobrze się czuje w otaczającym ich świecie.

Nie usiadł na miejscu sternika; wolał stać za kołem sterowym, uważnie obserwując kręte koryto kanału. Szlak nie był aż tak trudny jak ten, którym płynęła Faith, ale i tu pojawiały się przeszkody. Kilka razy łódź zachybotła się, dotykając dnem czegoś ukrytego pod powierzchnią wody.

Jones nawet nie drgnął.

Mijali właśnie trzy olbrzymie cyprysy rosnące w kształt trójkąta, gdy spod wody wyskoczyła ryba, błyskając w słońcu srebrzystą łuską.

Jones ustawił silnik na jałowym biegu.

- Widziałas? - zapytał.

- Widziałam. Słyszałam też, że kilka lat temu wpuścili tu okonie jako narybek i od tej pory zdarzają się w jeziorze olbrzymie sztuki.

Jones nadal patrzył na miejsce, gdzie zniknęła ryba. Walczy z pokusą, myślała Faith. W końcu wyłączył silnik i rzucił kotwicę.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, możemy zatrzymać się tutaj na pięć minut. Zarzuciłbym wędkę parę razy.

- Oczywiście. - Podobał jej się spokój tego odludnego miejsca. Przyroda miała tu swój szczególny, pierwotny charakter, nie skażony obecnością człowieka.

- Mam drugą wędkę - powiedział Jones. - Możesz spróbować, jeśli masz ochotę.

- Dziękuję, chętnie. - Faith nawet nie zdawała sobie sprawy, jak wielką miała ochotę na wędkowanie, póki jej tego nie zaproponował.

Jones otworzył pudło z przynętą, wyjął purpurowego robaka i założył na haczyk. Faith wybrała żółtą błyszkę, umieściła ją na końcu żyłki i przesunęła się na drugi koniec łodzi.

Ojciec mówił jej kiedyś, że wędkarstwo to cichy sport. Skoro Jones nie wydawał się chętny do rozmowy, ona również milczała, choć setki pytań cisnęły jej się na usta.

W ciszy upływały kolejne minuty. Coraz mocniej odczuwała bliską obecność tego mężczyzny. Próbowała skupić się na manewrowaniu wędką, ale nie sposób było nie widzieć takiego ciała, zwłaszcza gdy jego właściciel paradował na wpół nago. Bardzo opalony, jak na tę porę roku, myślała, obserwując napinające się mięśnie pleców, gdy długim, powolnym ruchem zarzucał przynętę.

Złapał ją na tym podglądaniu.

- Czyżbym robił coś nie tak?

- Słucham? - Otrząsnęła się z zamyślenia i bezwiednie zaczęła podciągać zapomnianą przynętę, która już pewnie wlokła się po dnie.

- No, myślałem, że źle zarzucam wędkę. Patrzyłaś tak jakoś...

- Nie, wszystko jest jak należy - odparła. I nie chodzi mi tylko o zarzucanie wędki, dodała w myśli.

Znowu długo nie rozmawiali. Towarzyszyły im tylko głosy ptaków na drzewach, brzęczenie owadów i co jakiś czas ciche pluśnięcie, kiedy ona lub Jones zarzucali wędkę. Miała jednak wrażenie, że w tym milczeniu tworzy się jakaś więź między nimi. To bycie razem na łodzi pośród nasłonecznionej wodnej

przestrzeni było dla niej szczególnym, bardzo osobistym doświadczeniem.

Słońce wzniosło się wyżej; zrobiło się jeszcze goręcej. Jones sięgnął do kieszeni po zieloną chustkę i wytarł czoło. Potem skrzył ją jak linę i owiązał dookoła głowy. Z tymi ciemnymi, długimi włosami wygląda prawie jak dzikus, wyobrażała sobie Faith. W myśli zastąpiła wytarte, obcięte dzin-sy przepaską biodrową i zaraz obróciła głowę, by nie zauwa-żył rumieńca, który zaróżowił jej twarz.

- Ty jesteś człowiekiem, który mnie uratował - powie-działa spokojnie, już nie patrząc w jego stronę. - Nie może być dwóch takich samych.

Jones westchnął.

- A jeśli przyznam ci rację, przestanieś mnie prześlado-wać?

Mogła się tylko uśmiechnąć. Cóż za skromny bohater...

- Dobrze, jeśli pozwolisz mi wyrazić moją wdzięczność. Dziękuję ci za uratowanie mi życia.

- Proszę bardzo - odparł burkliwym tonem.

- Sam też mogłeś wtedy zginąć - przypomniała mu. - Nie każdy na twoim miejscu...

Rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

- No dobrze. Mogę dać spokój. Czy dużo ryb złapałeś w tym miejscu poprzednim razem? - zmieniła temat. Dziś żadne z nich nie miało szczęścia.

- Niespecjalnie. Właściwie dalej szukam dobrego miejsca.

- Moim zdaniem tego miejsca nie można nazwać dobrym.

W każdym razie nie dzisiaj. Co byś powiedział na to, żeby podnieść kotwicę i spróbować gdzie indziej?

- Proszę bardzo. Ty wybierzesz to „gdzie indziej”.

Znajdowanie właściwego miejsca zajęło Faith sporo czasu. W końcu, po przepatrzeniu kilku zatoczek, wybrała zacienio-ny kawałek jednego z szerszych koryt wodnych.

- Dlaczego tu? - zapytał Jones, chociaż nie wahał się z rzuconiem kotwicy.

- Nie wiem. Mój tata uczył mnie wybierać miejsce, które w danej chwili wydaje się właściwe. To mi właśnie pasuje.

Wzruszył ramionami i sięgnął po przynętę w kształcie żaby. Faith trzymała się swej żółtej błystki. Nie minęło pięć minut, gdy na jej haczyku zatrzepotała ryba. Była całkiem niemała, sądząc z tego, jak mocno musiała z nią walczyć. Poczowała dodatkowy przypływ energii, kiedy Jones znalazł się tuż za nią, w milczeniu zachęcając ją do wytrwania. Działała umiejętnie, starając się zmęczyć rybę, żeby w czasie wyciągnięcia nie zerwała się z haczyka. Jones czekał obok niej z siatką.

- Niezła - powiedział. - Będzie ważyła co najmniej kilo.

- No, może niecałe kilo - odparła skromnie Faith, usuwając haczyk z rybiego pyska. - Tak czy owak można się już tym najeść. Gdzie masz koszyk?

Jego twarz zachmurzyła się.

- Nie myślisz chyba, żeby ją zabić i zjeść...

- Na trofeum do wypchania jest na pewno za mała.

- Nie o tym myślałem. Ja nie zabieram ryb do domu.

Wpuszczam je z powrotem do wody.

- Ach, tak... - odpowiedziała w zamyśleniu. Jej dziki tubylec był więc aż tak wrażliwy. Nie posądzała go o to wcześniej. Choć może po prostu nie rozumiała najprostszych rzeczy. Mógł reprezentować zwyczajny szacunek dla życia, jakiegokolwiek życia - kobiety rannej w wypadku samochodowym czy nierozumnej ryby.

Żałując nieco utraconych filetów, wyjęła mu z ręki siatkę i wrzuciła jej zawartość do wody. W końcu Jones jest szefem wyprawy i decyduje o losach zdobyczy.

- Pa, pa, rybko - powiedziała. - Miałaś dziś nieliczne szczęście.

Jones stał tak blisko, że czuła ciepło bijące z jego ciała. Obserwował odpływającą rybę z uśmiechem satysfakcji. Kiedy z tym samym uśmiechem obrócił się w kierunku Faith, jej serce zmiękło jak wosk. Nie widziała w tym człowieku ani śladu paskudnego charakteru, przed którym ostrzegwał Hoady. Jakby nagle się opamiętując, Jones odsunął się od niej i zaczął przebierać w pudle z przyborami.

- Jakiej przynęty używasz? - zapytał obojętnym tonem.

- Spróbuj błystki - odparła, kryjąc uśmiech. Czuła, że jej towarzysz jakby trochę odtajał. Nie wiedziała, dlaczego to w ogóle może mieć jakieś znaczenie, ale miało. Ten zagadkowy mężczyzna nie dostarczy materiału do jej pracy doktorskiej, ale chciała, żeby ją polubił.

Zostali jeszcze w tym miejscu co najmniej godzinę, łapiąc i wypuszczając następne trzy okonie. Upał się wzmagał, cień zniknął, więc postanowili skończyć połowy.

- Ryby odpłynęły na pewno w chłodniejsze miejsce - powiedziała Faith.

- Chyba tak - potwierdził Jones, podciągając żyłkę i osłaniając twarz dłonią od słońca. - Teraz zabiorę cię do przystani Sinclair. Możesz stamtąd zadzwonić i załatwić sobie, co będziesz chciała.

Serce w niej zamarło. Jakże chętnie spędziłaby cały dzień, łowiąc z nim ryby! Do diabła z doktoratem...

Tu dopadło ją poczucie winy. Przed wypadkiem pracowała nad swoimi wynikami dniem i nocą, z gorączkowym entuzjazmem. W tym czasie składała też podania o pracę nauczyciela akademickiego w wielu ośrodkach na południowym wschodzie, zakładając, że obejmie wybrane stanowisko po obronie doktoratu z antropologii. Pewnie dlatego była już zbyt rozproszona i zmęczona, by zauważyć nadjeżdżającą ciężarówkę.

Po wypadku, który postawił ją na granicy życia i śmierci,

zwolniła tempo. Miała dość materiału do potwierdzenia swoich teorii, opiekun pracy przesunął termin, mogła się nie spieszyć". To całkiem w porządku trochę sobie odpocząć, na przykład łowiąc ryby...

Jones wolał jednak już się jej pozbyć. Układał porządnie przybory i przynętę w pudle, a wędki w specjalnych wgłębieniach po bokach łodzi. - Co jest tu w środku? - zapytał, wskazując plastikowy pojemnik, który Faith umieściła na rufie.

- Moja kamera wideo - odparła, nakładając na twarz grubą warstwę kremu z filtrem. - Zamierzałam cię sfilmować...

- Ani mi się waź! - zaprotestował ostro.

- Spokojnie. Nigdy nie filmuję nikogo wbrew jego woli. - Wcierała teraz krem w nogi, nakładając go trochę więcej na gojącą się jeszcze bliznę. Jones przyglądał jej się uważnie, więc poczuła się trochę nieswojo i odwróciła do niego tyłem, niby szukając czegoś w czeluściach torby. - Poza tym nie jesteś stąd; nie nadajesz się na gwiazdora mojego filmu.

To stwierdzenie sprawiło mu widoczną ulgę.

- A dlaczego? - zapytał, podciągając kotwicę.

- Interesują mnie tylko ludzie, którzy mieszkają tu od urodzenia. To będzie materiał do mojej pracy doktorskiej.

- Co jest przedmiotem twoich badań? - Jones jeszcze nie zapuszczał silnika.

- Nie sędzę, żeby cię to interesowało.

- Jestem innego zdania. Opowiedz mi. - Rozparł się wygodnie na siedzeniu sternika i skrzyżował ramiona. Wyglądało na to, że nigdzie nie pojedą, póki jego ciekawość nie zostanie zaspokojona.

- No cóż, skoro nalegasz... Wybrałam temat z dziedziny antropologii. Używam metod ankietowania doktora Alfreda Kermita, który badał tutejszy folklor i zwyczaje trzydzieści lat temu. Chcę znaleźć ujemną korelację pomiędzy ekonomi-

cznym rozwojem regionu a możliwością zachowania jego ludowych tradycji, obyczajów.

Jones pokiwał głową w zamyśleniu.

- Chcesz pokazać, że ekspansja turystyki i poprawa warunków życiowych niszczy to, co stanowiło o kulturowej unikalności danego miejsca...

Widać było, że to rozumiał. Ciekawe, jakie ma wykształcenie?

- Mniej więcej. Na filmach doktora Kermita ludzie nawet nie mieli butów. Łowili ryby, żeby w ogóle mieć co jeść, palili ręcznie rzeźbione fajki i pili whisky własnej produkcji. Grali na banjo i opowiadali zupełnie niezwykłe historie. Teraz większość z nich odeszła już z tego świata - dodała z tęskną zadumą. - Rozmawiałam z ich dziećmi i wnukami, ale to już nie to samo. Jeszcze łowią ryby, ale słuchają rapu, oglądają filmy na wideo i kupują ciuchy w tanim magazynie. Pamiętają niektóre z lokalnych legend, ale sztuka opowiadania prawie już zanikła.

Jones patrzył na Faith trochę rozbawiony, a trochę zasmucony prawdziwością jej konstatacji. Wyobrażał sobie, jaki entuzjazm tej dziewczyny wywołałoby spotkanie z autentyczną tubylczą znachorką. Miss Hildy była prawdziwym reliktem minionych dni. Musiałyby jednak najpierw zapytać ją o zgodę. Szanował prywatność starej kobiety tak samo, jak ona szanowała jego.

Uruchomił wreszcie silnik.

- Może jesteś głodna? Na przystani można dostać zupełnie przyzwoite cheeseburgery.

- Umieram z głodu! - Jej oczy zabłysły entuzjazmem. - Ja stawiam. To będzie rewanz za tę wycieczkę na ryby - ucięła jego protesty. - Było wspaniale. Nie przeżyłam czegoś takiego... od kilku lat. - Na jej twarzy pojawił się wyraźny cień smutku.



- Od śmierci ojca?

- Od razu tak pomyślałaś?... Zmarł w zeszłym roku, ale przedtem długo chorował.

- Na co? - zapytał Jones. Tym razem to nie była tylko uprzejma konwersacja; naprawdę chciał wiedzieć.

- Na raka płuc. Ale palił jak komin, do końca.

No cóż, pomyślał Jones. Kiedy człowiek dostaje wyrok śmierci, nie ma powodu, żeby rezygnował z tych nielicznych przyjemności, jakie mu jeszcze zostały.

- A co z matką? - zainteresował się.

- Mieszka na Florydzie. Rozwiedli się dawno temu; nie była przy jego śmierci.

- Musiałaś sama sobie poradzić? - Mój Boże, dodał w duchu, to na pewno nie było łatwe.

Faith skinęła głową, ale potem niespodziewanie uśmiechnęła się.

- Nie wszystko było takie okropne. Staliśmy się sobie bardzo bliscy. Dowiedziałam się więcej o moim ojcu przez ten ostatni rok, niż przez poprzednie dwadzieścia sześć. A gdzie jest twoja rodzina? - zapytała.

Tego można się było spodziewać, pomyślał. Opuścił na chwilę tarczę i przez jakiś czas pozwolił sobie na normalną rozmowę ludzi, którzy się niedawno poznali. To są tylko naturalne skutki.

Co ma robić? Przedtem mógłby powiedzieć, żeby pilnowała własnego nosa, ale teraz... Łowili razem ryby, opowiedziała mu, jak bardzo kochała swego ojca... Nie chciał być dla niej przykry.

- Nie mam rodziny - odparł po prostu. - Jestem... hmm... sierotą. - To kłamstwo ledwie przeszło mu przez gardło. Dlaczego? Kiedyś, na sali sądowej, rutynowo mijał się z prawdą bez żadnych obciążeń sumienia. Może coś się w nim zmieniło?

- W porządku. Rozumiem, o co ci chodzi - powiedziała. Nie uwierzyła mu. Skłamał nie tylko niechętnie, ale i nieprzekonywająco. Czuł, jakby ją w pewnym sensie oszukał, nie chcąc mówić o sobie, gdy ona tak się przed nim otworzyła. Nie mógł jednak postąpić inaczej.

Popchnął zawór przepustnicy i łódź gwałtownie przyspieszyła. Hałas silnika uniemożliwił dalszą rozmowę.

Na przystani usiedli przy stoliku na zewnątrz. Zamówił cheeseburgera i frytki dla Faith, a dla siebie firmową sałatkę z teksaską grzanką z pełnoziarnistego chleba. Zapłacił dziesięciodolarowym banknotem, który Faith nie znoszącym sprzeciwu gestem wepchnęła mu do ręki.

- Myślałam, że chciałeś cheeseburgera - zdziwiła się Faith, rzucając zdumione spojrzenie na sałatkę.

- Zmieniłem zdanie już w czasie zamawiania. Jakoś wolałem sałatkę.

Faith nadal zastanawiała się nad jego wyborem. Większość mężczyzn nie przepada za zieleniną. Jones na pewno nie musiał się odchudzać. Jego ciało było sprężyste i bardzo szczupłe.

Następną zagadką był portfel, który bezwiednie położył na stole. Zrobiony był ze skóry węgorza, bardzo starannie wykonany. Ekskluzywna i droga rzecz, ozdobiona złotym monogramem. L.J., nie J.L.

Odebrała to prawie jak wstrząs. Boże, ten człowiek mieszka tu pod fałszywym nazwiskiem! Przed czym się ukrywa? Czyżby przed prawem? Ucieka od alimentów? Albo jest ważnym świadkiem, którego policja federalna ukryła aż tutaj?

Powinna teraz odsunąć tacę z cheeseburgerem, podziękować za wycieczkę na ryby i uciec stąd gdzie pieprz rośnie. Ten człowiek może być poszukiwanym kiedyś mordercą, który zabijał swe ofiary siekierą...

Widocznie jednak rozsądek chwilowo opuścił Faith, bo

siedziała nadal przy stole, ciesząc się każdą minutą w towarzystwie Jonesa (czy jak on się tam naprawdę nazywał), coraz bardziej zafascynowana i ciekawa.

- Kim ty właściwie jesteś? - zapytała, nie zdając sobie sprawy, że wypowiedziała na głos słowa, które miały być tylko pomyślane.

Jones gwałtownie odwrócił się w jej stronę, a w jego orzechowych oczach znowu pokazał się wyraz paniki. Szybko jednak zastąpił ją ostry chłód.

- Spędziliśmy razem taki miły ranek - powiedział beznamiętnym tonem. - Nie psuj go.

Skończyli posiłek w milczeniu. Faith wymruczała pod nosem jakieś grzecznościowe banały, zgarnęła swoje rzeczy i weszła do budynku przystani, żeby zadzwonić. Znalazła numer w książce telefonicznej i podniosła słuchawkę.

- Kemping Black Cypress, słucham - odezwał się znużonym głosem Hoady Fromme. Słuchał cierpliwie aż do chwili, kiedy Faith powiedziała mu, gdzie zostawiła jego łódkę.

- O nie, panienko, nawet sobie nie wyobrażaj, że zbliżę się do miejsca, gdzie mieszka Jones Larabee - zrzędził. - Mówiłem, żeby pani tam nie jechała, bo będą kłopoty. Urwała pani linkę rozrusznika, to niech pani teraz pogłótkuje, jak sprowadzić łódkę tam, skąd ją pani wzięła. I niech sobie pani nie myśli, że oddam zastaw, jeśli łódka nie wróci do mnie dziś przed wieczorem.

- To przecież nie moja wina, że pana sprzęt jest do niczego - protestowała Faith. - Jakim prawem chce pan zatrzymać moje siedemdziesiąt pięć dolarów?

Naprawdę nie mogła sobie pozwolić na taką stratę. Asystencka pensja na uniwersytecie była bardzo mizerna, a wypadek samochodowy, mimo zwrotów z ubezpieczenia, mocno nadszarpnął jej budżet.

- Ponieważ tak działa moja firma, i już - odpowiedział Hoady z zadowoleniem w głosie i odłożył słuchawkę.

Faith z przygnębieniem rozważała swoje możliwości. Mogłaby pożyczyć na przystani inną łódź, popłynąć do wysepki Jonesa i przyholować niesprawną motorówkę przez bagna do kempingu. Potem będzie musiała wrócić tutejszą łodzią na przystań, oddać ją - i znowu będzie unieruchomiona.

Poczuła się wyczerpana tym rozmyślaniami. Gdy na dodatek zobaczyła godzinowe stawki za wynajem najmniejszych nawet motorówek, popadła w zupełną depresję.

Jones słyszał większą część jej rozmowy z Hoadym, czekając na napełnienie baku swojej łodzi. Potem umyślnie zwlekał z odpłynięciem, kiedy Faith pertraktowała na przystani w sprawie wypożyczenia motorówki. Skutki tych negocjacji nie były pomyślne.

Zastanawiał się, dlaczego ta sprawa w ogóle go obchodzi. To prawda, że sama Faith zaczęła go obchodzić w podejrzenie krótkim czasie. Nie powinien nawet brać pod uwagę możliwości bliższego wiązania się z kimkolwiek; wiedział o tym aż nadto dobrze. Odpłynął w końcu z przystani, oglądając się jeszcze parę razy za siebie. Zamierzał wymazać z pamięci piękną Faith Kimball razem z jej obecnymi problemami.

Skierował się w stronę Big Lake, części Caddo odległej od błotnistych rozlewisk. Rzucił kotwicę i wskoczył do wody bez obawy niemiłego sąsiedztwa jadowitych stworzeń żyjących na bagnach.

Kiedyś uważał się za niezłego pływaka, ale od czasu, kiedy trenował na basenie, upłynęło już sporo lat. Na początku czuł się dość niepewnie, ale stopniowo jego ruchy zrobiły się bardziej płynne. To dawno zapomniane ćwiczenie sprawiło mu wiele radości.

Pływał jakiś czas wokół łodzi, aż wreszcie przyjemnie

zmęczony wspiął się znowu na pokład i odpoczywał na słońcu. Nie mógł przestać myśleć o Faith - o tym, jak jej włosy tworzyły wokół głowy świetlistą aureolę, o tym, jak jej kształtny nosk różowił się pod wpływem mocnych promieni słońca, a najbardziej o tym, jak smarowała ochronnym kremem swe kształtne nogi.

Chociaż nie tylko jej wygląd go tak pociągał. Podobała mu się jej łatwość prowadzenia rozmowy, zapał do pracy, którą sobie wybrała i to, jak z wesołym uśmiechem wypuściła tę dużą, tłustą rybę z powrotem do wody, rozumiejąc jego intencje.

Jones nie mógłby zabić już żadnego żywego stworzenia, nawet pajaków, które były częstymi gośćmi w jego chacie. Może i ma miękkie serce, ale nie wolno mu teraz pomóc Faith Kimball.

Była realnym zagrożeniem w jego obecnym życiu. Zbyt ciekawa, zadawała pytania... Musiał się z nią rozstać.

Przez resztę popołudnia po powrocie do domu kręcił się wewnątrz swojej chaty, co chwila spoglądając przez frontowe okno. Zastanawiał się, kiedy Faith wróci po wynajętą łódź. Na niebie gromadziły się burzowe chmury. Może ją złapać deszcz. Zrobił sobie pizzę na późny obiad, do tego sałatkę z produktów przywiezionych przez Hildy. Faith się nie pojawiła.

Może postanowiła poczekać do jutra? To znaczy, że do kieszeni Hoady'ego Fromme'a powędruje siedemdziesiąt pięć dolarów, na które nie zasłużył.

Diabli nadali. Przecież może popłynąć na przystań i zdążyć z powrotem przed zmierzchem. Wyglądało na to, że ładna pogoda jeszcze przez jakiś czas się utrzyma. Nie musi nawet widzieć się z Faith Kimball, jeśli nie będzie chciał.

Problem tylko w tym, że chciał. Jeszcze ten jeden raz.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Faith ziewnęła szeroko, wracając z kabin prysznicowych do swojego namiotu. Jeszcze nie było ciemno, ale nie miała ochoty na nic więcej poza zakopaniem się w śpiwór i przetrwaniem do rana. Najlepiej było zakończyć już ten przykry dzień.

Na przystani Sinclair próbowała pożyczyć jakąś łódź. Bez skutku. W końcu dostała się autostopem z powrotem do kempingu i stanęła twarzą w twarz z Hoadym. Jej cierpliwość była już dawno na wyczerpaniu. Zagroziła zarządcy, że pozwie go do sądu, jeśli spróbuje zatrzymać jej kaucję za łódź. W końcu zgodził się poczekać do jutra pod warunkiem, że Faith pożyczy od niego inną łódź i przyholuje tamtą osobiście. Nie chciał nawet słyszeć o tym, żeby on sam miał płynąć na wysepkę Jonesa Larabee.

Jones Larabee... Albo może Larabee Jones. Spotkanie z tym tajemniczym samotnikiem było najbardziej frustrującym wydarzeniem minionego dnia.

Jak na człowieka, który wybrał pustelniczy żywot na bagnach, bez wątplenia cieszył się jej towarzystwem - przynajmniej do pewnego momentu. Czyżby ta samotność nie była dobrowolna? Jeśli tak, to co go do niej zmusiło? Z czego żył?

Ty idiotko, powtarzała sobie, zbliżając się do swojego czerwonego, kopulastego namiotu. Przecież ten człowiek może być zamieszany w jakiś przestępczy proceder. Może, na przykład, hodować na bagnach marihuanę. To szaleństwo wcho-

dzić mu w drogę z powodu głupiej ciekawości. Powinna o nim zapomnieć. Podziękowała mu za uratowanie życia, a przecież tylko po to tu przyjechała. Sprawa jest zakończona.

Gdy odsuwała zamek spinający wejście do namiotu, żołądek głośno upomniał się o swoje prawa. Powinna zrobić sobie jakiś obiad... W tej chwili usłyszała odległy pomruk grzmotu, jakby echo burczącego żołądka. W powietrzu czuć było wilgoć. Rozpalanie ogniska nie miało najmniejszego sensu.

Trzeba będzie zadowolić się serem i krakersami w namiocie, postanowiła. Gdy szła do samochodu po jedzenie, zauważyła chmury gromadzące się szybko na niebie. Było coraz zimniej i wiatr wzmagął się z każdą chwilą.

Miała nadzieję, że nadciągająca burza nie okaże się zbyt gwałtowna. Namiot był mocny i wodoodporny, ale trudno liczyć na spokojny sen pośród grzmotów i ulewy. Z przyniesionymi zapasami wczołgała się do namiotu, sprawdzwszy przed zasunięciem zamka, czy wszystko zamocowane jest jak należy.

Przebrała się już w nocną koszulę i rozłożyła skromną przekąskę na papierowym ręczniku, kiedy na zewnątrz usłyszała czyjś głos, wypowiadający jej nazwisko. Nasłuchiwała dalej w napięciu, ale wszystko zagłuszał przybierający na sile wiatr.

- Kto tu jest? - zapytała, czując, jak serce łomocze jej w piersiach. Mimo sąsiedztwa innych ludzi na kempingu czuła się dziwnie bezbronna.

- Faith, to ja, Jones Larabee. Chciałem powiedzieć, że przyholowałem twoją łódkę.

Złamała paznokiec, otwierając w pośpiechu zamek namiotu. Kiedy wystawiła głowę, zobaczyła tuż przed oczami kolano osłonięte dżinsową tkaniną. Uniosła głowę wyżej. Ubrany jest dość przyzwoicie, oceniła. Ale wygląda nieprzyzwoicie seksownie. Prawie jakby był nagi. Spłowiąte dżinsy, mięk-

kie od częstego prania, opinały jego uda i biodra. Krótka bawełniana koszulka z napisem „Texas Rangers” ukazywała twarde jak kamień, wspaniałe mięśnie brzucha.

- Dlaczego to zrobiłeś? - pytanie prawie uwięzło w jej nagle wyschniętych ustach. - Rano mówiłeś, że to za duży kłopot.

Ukląkł na jedno kolano, przybliżając twarz do jej twarzy.

- Słyszałem, jak rozmawiałaś z Hoadym. Nie chciałem, żeby ten śmierdziel zatrzymał twoją kaucję. Miał zresztą szczęście, że już poszedł do domu. Chętnie zamieniłbym z nim parę słów na temat traktowania klientów.

Faith na tę myśl uśmiechnęła się przewrotnie.

- Przestraszyłbyś biednego człowieka na śmierć.

- Należało mu się co najmniej tyle za to, że posłał kobietę samą na bagna w rupieciu, który beczelnie nazywa motorówką. A co by było, gdybyś się zgubiła i silnik odmówiłyby posłuszeństwa w jakimś odludnym miejscu? Przecież mogłaś utknąć gdzieś na wiele dni!

- Miałam wiosło - wtrąciła, chociaż od jego troskliwości zrobiło jej się ciepłej na duszy.

W tej chwili niebo przeciął jasny błysk; po paru sekundach usłyszeli głośny grzmot. Faith skuliła się ze strachu.

- Chyba będę musiał już wracać - powiedział, patrząc uważnie na chmury. Kiedy to mówił, pierwsze krople deszczu mocno uderzyły o napięty nylonowy dach namiotu.

Teraz Faith musiała okazać swoją troskę. Ciągące z południowego zachodu chmury były ciężkie i ciemne jak ołów. Przyśłoniły zachodzące słońce. Zrobiło się ciemno jak o zmierzchu.

- Nie możesz teraz płynąć - protestowała. - Nawet jeśli nie trafi cię piorun, przemokniesz na tym deszczu do suchej nitki. Poza tym nic już nie będziesz widział w takim mroku. - Aż się wzdrygnęła na myśl, jak czarno może być niedługo na bagnach.



- Potrafię znaleźć drogę nawet po ciemku - odrzekł. Niebo odpowiedziało mu nową nawałnicą deszczu.

- Ale nie wtedy, kiedy leje jak z cebra - zaprotestowała Faith. Włosy miała już całkiem mokre. Otworzyła szerzej wejście do namiotu i cofnęła się do środka.

- Na miłość Boga, schowaj się tutaj, zanim przemokniesz na wylot. Możesz przynajmniej przeczekać najsilniejsze uderzenie burzy.

Jones wahał się. Widać było, jak trudno przyjąć mu to zaproszenie, tak przecież szczere i oczywiste. Następna błyskawica, po której rozległ się ogłuszający grzmot, chyba go przekonała. Zgiął się wpół i wsunął do namiotu, na chwilę zostawiając jeszcze na zewnątrz stopy, aby zdjąć przemoczone tenisówki. Gdy wreszcie zasunął zamek wejścia, jakby na umówiony sygnał rozpętała się wokół potworna ulewa.

Zrobiłam straszne głupstwo, myślała Faith, dokładnie otulając śpiworem gołe nogi. Nie powinnam go tu zapraszać, za żadne skarby. W ciasnej przestrzeni namiotu męskość Jonesa Larabee była przytłaczająca. Jego szerokie bary i długie nogi wydawały się wypełniać całe wnętrze, a zapach czystego męskiego ciała okrytego mokrą bawełną niepokojąco drażnił jej nozdrza. Ta wymuszona bliskość była niezwykle podniecająca, choć wprawiała Faith w lekki popłoch.

Jones podciągnął długie nogi, siadając po indiańsku na dodatkowym kocu, i rozejrzał się wokół.

- Przerwałem ci kolację - zauważył.

- Ale uczta, no nie? - zaśmiała się. - Chcesz trochę?

- Dziękuję, niedawno jadłem. - Rozglądał się dalej, jakby chciał zająć czymś ręce. Trafił na radio.

- Czy mogę włączyć?

- Oczywiście; może będzie komunikat o pogodzie.

Przez chwilę obracał gałką, aż wreszcie znalazł stację jako tako słyszalną mimo trzasków wyładowań. Wiadomości nie

były dobre. Silny front burzowy posuwał się po dużym obszarze, przynosząc wichurę, gdziegdzie nawet grad. W całym okręgu ogłoszono alarm; ten typ pogody groził pojawieniem się trąb powietrznych. Faith westchnęła.

- Wolałabym tego nie słyszeć.
- Czyżbyś bała się burzy? - zapytał Jones.

Faith drgnęła, kiedy przez niebo przetoczył się kolejny grzmot.

- Sam widzisz... Myślę, że nie boję się burzy bardziej niż wszyscy, jeśli mam nad głową solidny dach. Kiedy jednak od szalejących żywiołów dzieli mnie tylko warstwa nylonu... no... jestem trochę niespokojna.

Wyglądała na więcej niż trochę niespokojną. W narastającym mroku Jones widział, jak drżała; nie tylko z powodu chłodu, o wiele bardziej z trwogi.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał. - Dziękuję, że namówiłaś mnie, żebym został. Miałbym ciężką przeprawę.

Wichura jakby zawtórowała jego słowom, wyjąc ogłuszająco wokół namiotu. Okoliczne drzewa trzeszczały i gięły się ku ziemi.

- O Boże, czy to się kiedyś skończy? - pytała Faith drżącym głosem. Widać było, że jest bliska nerwowego załamania. Jones nauczył się rozpoznawać te wstępne oznaki u Mary Lynn, choć powód wtedy był inny.

- Wszystko będzie dobrze - mówił kojącym głosem, sięgając po rękę Faith. Była lodowato zimna. Powoli przysunął się bliżej, aż znalazł się tuż obok, na dmuchanym materacu. Objął ramieniem jej rozdygotane plecy.

Nie opierała się. Przytuliła się do niego i schowała głowę w zagłębieniu barku. Jones trzymał ją mocno, ogrzewając własnym ciałem, aż przestała drżeć.

Rozum mówił mu, że Faith przyjęła tylko jego zwykłe, uspokajające gesty; nic więcej. Jego ciało krzyczało co inne-

go. Nie mógł jej widzieć, ale odbierał zmysłami wiele innych, bardzo fizycznych sygnałów - delikatna skóra, osłonięta tylko cienką tkaniną nocnej bielizny, miękka i ciepła pod jego dłonią, jedwabiste włosy łaskoczące mu twarz i słodki zapach kobiety, który zdawał się przenikać w głąb jego własnego ciała. Podniecał go nawet jej oddech.

- Czuję się trochę głupio - powiedziała, nieledwie dotykając ustami jego piersi. - Prawie cię nie znam, a tu...

- Ciii... - szepnął.

Rzeczywiście, nie znała go. I nigdy nie pozna. Nie może być inaczej. Tak bardzo pragnął opowiedzieć jej teraz wszystko i zaspokoić jej ciekawość, ale nie mógł. Jeśliby to zrobił, mógł znaleźć się znowu w punkcie wyjścia, w sytuacji, która zmusiła go do porzucenia rodziny, przyjaciół, narzeczonej.

- Myślę, że ta burza już trochę słabnie, prawda? - zapytała z nadzieją.

Nie miał serca zaprzeczać, ale wszystko wskazywało na to, że zawierucha raczej się wzmacnia. W pobliżu słychać było trzaskające drzwi samochodów i warkot zapuszczanych silników. Inni mieszkańcy kempingu postanowili szukać lepszego schronienia.

Radio przekazało kolejny komunikat, że w Marshall i Kildare widziano lejowate kłębowiska chmur. To zaledwie trzydzieści kilometrów od Caddo Lake. Groźba przejścia tornado stawała się coraz bardziej realna.

- Nie chcę cię straszyć, ale powinniśmy się stąd wynosić - powiedział Jones.

- Dokąd? - Odcień paniki znowu pojawił się w jej głosie, kiedy tylko znaleźli się dalej od siebie.

- Na przykład do budynku z prysznicami - odparł, licząc na solidną budowlę z cegły. - Chyba widziałem go koło tej drogi?

- Tak, to rzeczywiście dobry pomysł. Muszę tylko coś na siebie narzucić - głos Faith brzmiał dużo spokojniej.

Jones czekał w ciemnościach namiotu, kiedy tuż przy nim wciągała dzinsy na nocną koszulę. Jego wyobraźnia ruszyła pełną parą. Pewnie miałyby większe opory, myślał, gdyby nie pośpiech.

- Ty prowadzisz - powiedziała, wkładając mu klucze do ręki.

Pognali biegiem do samochodu, choć równie dobrze mogliby oszczędzić sobie wysiłku. Po paru sekundach byli przez moczeni do suchej nitki. Jones włączył ogrzewanie, ustawił wycieraczki na największą prędkość i powoli wyjechał na wąską drogę, która wiała się po terenie kempingu. Wiedział, że wystarczy jeden błędny ruch i mogą skończyć w błocie do pół osi.

Widoczność była ograniczona praktycznie do zera. Mimo to jakoś doprowadził samochód do budynku, w którym mieściły się prysznice, i zaparkował pod samymi drzwiami.

- Jak mi dobrze! - westchnęła Faith, czując wreszcie normalny dach nad głową. - Nigdy nie przypuszczałam, że to obrzydliwe miejsce napełni mnie takim szczęściem. Tu jest na pewno bezpieczniej.

Jones nie podzielał jej entuzjazmu. Dach niewielkiego budynku zrobiony był z karbowanej warstwy szklanego włókna; mocniejsza wichura mogła go zmieść bez trudu. Próbował nie pokazywać po sobie tych niepokojów. Tu przynajmniej było jeszcze światło.

Faith usiadła na drewnianej ławce w korytarzyku rozdzielającym kabiny męskie i damskie. Oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy.

Miał okazję przyjrzeć się jej przez chwilę. Wyglądała jak wyciągnięty z wody kot, z włosami przyklejonymi do głowy i ociekającym wodą ubraniem; mimo to nie utraciła swego

uroku. Jego wzrok przyciągnęła różowa nocna koszulka. Mokry, prawie przezroczysty materiał przylegał do nagiej skóry, ukazując twarde, okrągłe piersi ze sterczącymi sutkami.

Siłą oderwał oczy od tego widoku i usiadł obok. Był blisko, ale starał się jej nie dotknąć. Jego zmysły były już wystawiane na zbyt ciężkie próby tej nocy.

- I jak tam? - zapytał.

- Dziękuję, czuję się dużo lepiej. - Otworzyła oczy i objęła go jasnym, błękitnym spojrzeniem. - Przepraszam cię, zachowałam się jak małe dziecko.

- Przecież to zrozumiałe.

- Nie odpowiadasz swojej okropnej reputacji... Potrafisz pocieszać. A Hoady mówił, że próbowałeś go zabić.

- No, powiedzmy, że trochę przesadził.

- A jak było naprawdę?

- Hoady stawiał na moich wodach kłusownicze sieci. Nie miałem ochoty oglądać codziennie, jak przypływał je sprawdzać. Powiedziałem, żeby się zabierał razem z tym paskudztwem. Nie usłuchał. Wyszedłem przed dom ze strzelbą i...

- Och, nie! - krzyknęła Faith.

- Wystrzeliłem w powietrze - śmiał się Jones. - Nigdy bym nie przypuszczał, że ten krasnal potrafi tak szybko uciekać.

Faith śmiała się wraz z nim, ale zaraz spoważniała.

- Nie tylko Hoady się skarżył. Również ten sprzedawca ze sklepu, Bill Jakiś-tam. Mówił, że jesteś ściganym przestępcą, że widział twoją podobiznę na pocztce. List gończy.

Bill Holt, pomyślał Jones. Nigdy nie lubił tego człowieka, a w szczególności jego wścibstwa.

- Bill może sobie myśleć, co mu się podoba.

- Różni ludzie mają tu różne opinie na temat tego, co robisz sam na bagnach, ale co do jednego są zgodni: jesteś gorszy od żmii i lepiej trzymać się od ciebie z daleka.

- A ty tego nie posłuchałaś.

- Bo wiedziałam, że nie możesz być taki okropny. Pamiętałam, co mówiłeś do mnie wtedy, po wypadku, jak wytarłeś krew z mojej twarzy i zabandażowałeś mi nogę.

Jones wzruszył ramionami.

- Potrzebowałaś pomocy, a ja byłem w pobliżu.

- Ale nie jesteś zły - upierała się. - Dlaczego pozwalasz tym ludziom wierzyć w coś przeciwnego?

- Bo w ten sposób trzymają się z daleka. Chociaż są tacy, co nie dają się odstraszyć. Takie, dokładnie mówiąc. - Popatrzył na nią znacząco.

- Dlaczego chcesz, żeby trzymali się z daleka?

- Faith, czy mogłabyś przestać zadawać pytania? - Próbował powiedzieć to groźnym tonem, ale brzmiało to raczej jak prośba. - Nie mogę ci na nie odpowiedzieć.

- Czyżbyś był na bakier z prawem?

- Do diabła, nie. - Zniknięcie nie jest przestępstwem, myślał. Niektórzy znikają z powodu długów, a on przez lata pracy jako wzięty prawnik zarobił więcej, niż było mu teraz potrzebne.

- To dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

- A dlaczego musisz to wiedzieć? - odpalił.

- Bo... - wzięła głęboki oddech i położyła rękę na jego dłoni, którą opierał na kolanie. - Bo cię lubię i chciałabym cię lepiej poznać.

Wiedział, co miała na myśli, ale jakakolwiek pozytywna reakcja z jego strony była nie do pomyślenia. Poderwał się z ławki jak oparzony i zrobił dwa długie kroki. Nawet gdyby mógł pozwolić sobie na zbliżenie się do jakiejś kobiety - a przecież nie może - powinien pamiętać o Mary Lynn.

Widział smutek w oczach Faith. Zranił ją; to tylko jego wina. Owszem, to ona go tu znalazła, ale pozwolił jej się do siebie zbliżyć. Za bardzo.

- To nie z twojego powodu, Faith - powiedział.  
- Ale ja właśnie tak to odebrałam.  
- Nie... zapewniam cię. Jesteś atrakcyjną, interesującą kobietą i w normalnych okolicznościach cieszyłbym się z każdej okazji, żeby cię lepiej poznać. - Dużo lepiej, dodał w myślach. - Ale nie mogę. Jestem związany... z kimś innym.

- Dziewczyna?  
- Narzeczona.  
- Powiedz coś więcej.  
- Na imię ma Mary Lynn.  
- A jak się nazywa? - pytała dalej Faith, patrząc na niego z powątpiewaniem.

- Hoffman - rzucił szybko; tak bardzo chciał ją przekonać, że nie zmyśla. Natychmiast tego pożałował. Szanse na to, żeby Faith chciała szukać jego narzeczonej, były minimalne, ale mimo wszystko...

- Kiedy się pobieracie?  
- Chyba się nie pobierzemy.  
- W takim razie ona nie jest twoją narzeczoną.  
- Nadal ma mój pierścionek. - Wprawdzie zostawił jej list, żeby go sprzedała i znalazła sobie innego mężczyznę, ale nie bardzo wierzył, że to zrobi. Mary Lynn zawsze była romantyczką.

- No to dlaczego...  
- Faith! - Teraz naprawdę ogarnęła go złość. Jej ciekawość była zrozumiała, ale dziewczyna zbyt naruszała jego prywatność. - Dość już tych pytań. Posłuchaj - ciągnął łagodniejszym tonem - deszcz słabnie. Pójdę do samochodu i posłucham radia. Może będzie nowy komunikat o pogodzie.

Poszedł. Faith patrzyła za nim. Czuła się bardzo nieszczęśliwa. Wyszła na taką idiotkę. Nawet jeśli mu się podoba, on i tak nie ulegnie pokusie. Lojalność wobec tajemniczej Mary Lynn czyniła go jeszcze bardziej pociągającym.

Weszła do pomieszczenia damskich urny walni, żeby zerknąć w lustro. No nie, ona miałaby się komukolwiek podobać! Wyglądała j'ak zmoczona miotła. Wyjęła grzebień i próbowała coś zrobić z tą splątana gęstwiną włosów.

Ciekawe, co stało się z tą Mary Lynn, myślała. Czyżby go porzuciła? Albo umarła?

- Faith? - Głos Jonesa zza drzwi brzmiał lekkim niepokojem.

- Zaraz wychodzę! - zawołała. Postarała się zrobić bez troską minę do brudnego lustra. Niech sobie nie myśli, że się przejmuję, postanowiła hardo.

- Specjaliści od pogody mają dla nas dobre wieści - powiedział. - Najgorsze burze poszły już sobie nad Luizjanę i Arkansas.

- To świetnie. Możemy zatem stąd wyjść - odparła, mając nadzieję, że Jones zaraz odpłynie na swoją wyspę. Może wtedy wszystko wróci do jakiej takiej normy.

Niestety, skończyło się na nadziei. Gdy tylko wyjechali na drogę wiodącą w stronę pozostawionego namiotu, Faith ujrzała przed sobą migające niebiesko-czerwone światła wozu zastępcy szeryfa i jakiś skłębiony chaos, którego przedtem nie było.

Większość gości zdążyła wyjechać przed burzą. Zostały tylko trzy samochody z mieszkalnymi przyczepami. Jeden rozdarty był na całej długości jak aluminiowa puszka. Drugi leżał przewrócony na bok. Zastępca szeryfa oglądał zniszczenia i próbował uspokoić zszokowanych właścicieli zdemolowanego wozu.

W poprzek drogi leżało drzewo wyrwane z korzeniami, blokując przejazd. Faith wyłączyła silnik i wyszła z samochodu. Jones poszedł za nią. Kiedy znaleźli się bliżej, ujrzeli strzępy gałęzi zwisające z koron drzew. Wyglądało to tak, jakby ktoś potężną łyżką zgarnął czubki z miękkich lodowych rożków.



Takie zniszczenia mogło spowodować tylko bezpośrednie uderzenie tornada.

Zastępca szeryfa zaświecił latarką w twarz Jonesa i Faith.

- Czy to wasz wóz? - zapytał, pokazując przewrócony samochód z przyczepą.

- Nie - odpowiedziała Faith. - Ja miałam namiot. Czerwony. Powinien być gdzieś tutaj.

- Może ten? - Przedstawiciel władzy skierował światło latarki wysoko w górę. Pomiędzy gałęziami, jakieś osiem metrów od ziemi, błyszcząły strzępy czerwonego nylonu.

- O Boże! - wyjąkała oszołomiona Faith. Osłabła z wrażeń, oparła się plecami o przewróconą przyczepę.

- Niech to diabli - dodał Jones. - A to pech!

- Nie powiedziałabym tego - zaproponowała Faith. - Mieliśmy raczej piekielne szczęście. Po raz drugi uratowałeś mi życie, Jones. Jeżeli nie wyciągnąłbyś mnie z namiotu, siedziałabym tam sztywna z przerażenia i tornado wyrzuciłoby mnie na to drzewo razem ze wszystkim!

Zastępca szeryfa, który już zamierzał udać się z powrotem do poszkodowanych właścicieli przyczepy, gwałtownie obrócił głowę.

- Jones? - zapytał, kierując strumień światła w twarz towarzysza Faith. - Jones Larabee? Co ty chcesz tu zwędzić po nocy? Lepiej nic nie kombinuj, już ja cię przypilnuję!

- Tak, to ja - odparł Jones, rozciągając wyrazy w doskonałej imitacji tutejszej gwary. Nie zareagował na to, co mówił tamten, tylko wyraz twarzy zmienił mu się nie do poznania. Widać było, że ledwie panuje nad sobą.

Zwędzić? Co to znaczy, zastanawiała się Faith. Przecież to nonsens!

- Idę sprawdzić, czy wszystko w porządku z moją łódką. Jeżeli oczywiście nadal mam łódkę - dodał Jones szybko i odwrócił się na pięcie.

Zastępca szeryfa skierował swe guzikowate oczy na Faith.

- Młoda damo, czyżbyś znała tego człowieka?

- Owszem, znam. I co z tego? - odparła wojowniczo.

- Cóż, widać, że pani nie jest stąd. Jones Larabee to niebezpieczny gagatek. Radziłbym uważać, bo można skończyć z poderżniętym gardłem.

- To najśmieszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam - odparła ostro. - Jones uratował mi życie, i to dwa razy. Myśli pan, że zadał sobie tyle trudu po to, żeby mnie potem zabić?! - podnosiła głos, coraz bardziej oburzona.

Zastępca szeryfa reagował na każde jej słowo nerwowym grymasem.

- Czy byłaby pani uprzejma mówić trochę ciszej?

- A dlaczego? Niech wszyscy usłyszą, że szarga pan opinię porządnego człowieka!

W tym momencie poczuła stalowy uchwyt zaciskający się na jej nadgarstku.

- Pan wybaczy - powiedział szorstko Jones do przedstawiciela władzy i odciągnął Faith o dwa kroki.

- O co chodzi? - spytała zaczepnie, nadal rozgorączkowana ostrą dyskusją.

- Doceniam twoją dobrą opinię o mojej osobie, Faith, ale nie musisz mnie bronić przed tym waśniakiem z blaszaną gwiazdką.

- Dlaczego nie? On cię obrażał! Założę się, że nie ma żadnego dowodu na to, o co cię oskarżał.

- Wystarczy mu moja reputacja. Daj mi kluczyki, Faith.

- Po co?

- Muszę zaparkować twój samochód tam, gdzie nie będzie nikomu przeszkadzał. Potem zabieram cię do domu.

- Ale przecież nie możesz pozwolić, żeby ludzie opowiadali o tobie takie rzeczy. On powiedział, że możesz mi poderżnąć gardło.

- Doprawdy? - Jones uśmiechnął się złowieszczo, po czym odwrócił się i odszedł.

Wyglądało to tak, jakby był zadowolony ze swojej paskudnej reputacji i wcale nie chciał, żeby ktoś mu ją poprawiał. Uświadomiła to sobie razem z faktem, że oto ma jechać z nim do domu.

Do jego domu. Żeby spędzić tam noc.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Ta podróż przez bagna była dla Faith jeszcze straszniejsza niż poprzednia. Było bardzo zimno. Zwinęła się u stóp Jonesa na dnie łodzi, ale to niewiele pomagało. Gdy łódź skakała na falach, wiatr szarpał ją za włosy i przenikał na wylot przez przemoczone ubranie. Szczękała głośno zębami.

Jones ustawił silnik na jałowym biegu i spojrzał w dół.

- No, jak się mamy?

- Ddo... brze - odpowiedziała. Dość już dziś panikowała; za nic w świecie nie przyzna się, że w tej ciemności byle drzewo wygląda jak wilkołak.

Jones pochylił się i dotknął jej ramienia.

- Przecież zmarzłaś. Dlaczego nic nie mówisz?

- Bo i tak nic na to nie poradzisz - odpowiedziała. Chociaż... On wydawał się być odporny na ziąb; gdyby chciał ogrzać ją swoim ciepłem... O tym jednak mogła tylko marzyć.

- Poczekaj. - Sięgnął do schowka pod siedzeniami motorówki i wyciągnął jakiś sztormiak. - Włóż to na siebie. Do wyspy jeszcze co najmniej kwadrans.

Faith mruknęła coś w podziękowaniu i zaczęła wkładać ręce w rękawy. Sztormiak był o wiele za duży. W parę sekund później zdzierała go z siebie, krzycząc z przerażenia.

Jones obrócił się szybko w jej stronę.

- Co, u diabła?

Faith szarpała się tak gwałtownie, że potknęła się o kanister

i upadła. Udało jej się jednak ściągnąć sztormiak i rzucić go na drugi koniec łodzi.

Jones zaśwycił jej latarką prosto w oczy.

- Czy mogę się wreszcie dowiedzieć, co ty wyprawiasz?

- Coś mi łąziło po plecach - odparła drżącym głosem.

Jones skierował światło na leżący sztormiak. Ze sceptycznym wyrazem twarzy podniósł go do góry i potrząsnął. Faith ujrzała z ulgą, jak wysuwa się stamtąd jakiś długi i ciemny kształt. Nie przypuszczała, że widok węża sprawi jej kiedykolwiek taką satysfakcję. No, nie wymyśliła sobie przecież tego pełzania w rękawie!

Jones podniósł gada i wyrzucił go za burtę.

- Nie bój się, to nieszkodliwy wąż wodny. One wszędzie wąża. Powiniennem był sprawdzić.

Faith nie miała już ochoty wkładać sztormiaka. Zresztą przeżycia z wężem trochę ją rozgrzały.

- Dziękuję, już mi nie jest zimno - powiedziała, śmiejąc się z przymusem.

Jones roześmiał się również, ciepło i serdecznie. Pierwszy raz usłyszała jego śmiech.

- Biedna Faith - mówił, potrząsając głową. - Najpierw ja i Hoady, potem tornado, a teraz jeszcze wąż. Co za okropny dzień!

Skinęła głową. Pewnie nie zdawał sobie sprawy, że najprzykřejszym zdarzeniem tego dnia było to, że ją odepchnął. Był pierwszym mężczyzną od bardzo dawna, który ją zainteresował. Nie mogła myśleć o randkach, kiedy ojciec był śmiertelnie chory. Potem rzuciła się w wir pracy, jakby ją kto gonił. Była jednak pewna, że gdyby w czasie tej szaleńczej harówki pojawił się ktoś taki jak Jones Larabee, na pewno by go zauważyła.

Mówił o tej, niech ją diabli, Mary Lynn Hoffman, narzeczonej, której podobno nie zamierzał poślubić. Musi wyświetlić tę tajemnicę.

- Siadź tutaj - powiedział, klepiąc w siedzenie obok siebie.

Chętnie go posłuchała. Jeszcze drżała z chłodu i trwogi; wolała być blisko jego potężnego, dającego poczucie pewności ciała. Dookoła nadal słyszała tajemnicze łopoty, skrzeki i inne niepokojące dźwięki. Siedząc przy Jonesie tak się nie bała. Dopiero kiedy zbliżyli się do szopy na łódź, uświadomiła sobie, że trzyma go za rękę.

Szybko ją puściła. Może tego nie zauważył?

Dom Jonesa był w środku tak samo uroczy, jak na zewnątrz. W pokoju otoczonym ścianami z grubych, lekko oheblowanych belek stały wygodne meble w stylu wczesnoamerykańskim. Na jednej ze ścian znajdował się olbrzymi kominek z ciosanego kamienia. Kominki w Teksasie to może nie najpotrzebniejsza inwestycja, ale Faith zawsze lubiła miłą atmosferę tańczących płomieni w chłodną noc.

Jones pokazał jej niewielką, funkcjonalną kuchnię z wiklinowymi koszami i drobiazgami z miedzi. Poczuli się od razu jak w domu.

- Możesz zdjąć te mokre rzeczy i wziąć gorący prysznic - powiedział. - Spróbuję znaleźć ci coś do ubrania.

Gdyby tę propozycję uczynił jej inny mężczyzna, nabrała by pewnych podejrzeń. Ale nie Jones. Jego zamiary nie miały żadnego podtekstu... niestety.

Nadal drżała, choć w domu było całkiem ciepło. Poszła do łazienki, z przyjemnością ściągnęła z siebie wilgotne ubranie i weszła pod strumień gorącej wody. Zapomniała zamknąć drzwi. W pewnej chwili zobaczyła przez szklaną ściankę kabiny, że drzwi uchyla opalone ramię, które wsuwa się do środka, kładąc obok umywalki jakąś odzież.

Jones czuł się mocno zdegustowany własną decyzją. Co za szaleństwo przywlec ją tutaj na noc! Gdyby nie miał tak idiotycznie miękkiego serca i nie holował jej łódki, ten wic-

czór upłynąłby jak wszystkie, bez kłopotów. Z drugiej jednak strony, gdyby nie pokazał się w Black Cypress, Faith mogłaby skończyć na drzewie razem ze swoim namiotem.

Dobra, dobra, ale mógł zostawić ją tam, kiedy burza uci-  
chła. Teraz ma w domu gościa, który stanowi groźną pokusę  
dla jego zmysłów. Gdy trzymała go w łódce za rękę jak wy-  
straszone dziecko; miał ochotę objąć ją całą ramionami i po-  
cieszyć, że wszystko będzie dobrze. A potem pocałować, dłu-  
go, długo i mocno.

Teraz też nie było lepiej. Próbować skupić myśli na czymś  
innym, ale uparcie powracały do jej smukłego ciała, które  
obmywały strumienie wody pod jego prysznicem. Nie pod-  
glądał, wsuwając tam rękę ze swoją flanelową koszulą i spod-  
niami od dresu, ale chciał to zrobić. Jeszcze jak chciał.

Kiedy Faith wyszła z łazienki, na kominku błyskał już  
wesoły ogień, a na czystym drewnianym stole leżał bochenek  
domowego chleba na miodzie. Był to jeden z podarunków  
Hildy.

- Och - ucieszyła się Faith na ten widok. - Nie musiałeś  
robić sobie takich kłopotów.

- To żaden kłopot - powiedział z roztargnieniem. Jego  
uwagę przyciągały kształty Faith, zmysłowo podkreślone  
przez jego ubranie. Czerwona flanelowa koszula sięgała pra-  
wie do kolan. Jej rękawy musiała Faith zawinąć parę razy, ale  
miękką tkanina nie ukryła jej pełnych piersi. Wręcz przeciwi-  
nie. Patrzył na to z wyschniętymi z emocji ustami.

Starał się zająć ręce i umysł nalewaniem herbaty.

- Mmm, dziękuję. - Upiła spory łyk i prawie się zakrztu-  
siła. - Dobry Boże, a co to jest? - zapytała, kiedy przestała  
kaszeleć.

- Ziołowa herbata - powiedział urażony. To prawda, że  
miała dość niezwykły smak, ale nie pomyślał, że ktoś mógłby  
jej nie lubić. Sam pił ją całymi litrami.

- Co to za zioła? - zapytała, odgarniając z czoła jasne pasmo włosów i patrząc podejrzliwie w głąb naczynia.

- Nie wszystko pamiętam. Nagietek, barwinek, no... takie tam. O, jeszcze coś, co nazywa się korzeń szkarłatki. Dostałem tę mieszankę od przyjaznej osoby. Coś mnie ciągnie do tej herbaty, naprawdę. - Ciągnęło go jeszcze do Faith Kimball, nawet bardzo. Tak chciałby zanurzyć dłonie w gęstwinie loków, spiętrzonych bezładnie na jej głowie.

- Masz jednak jakąś przyjazną osobę? - przekomarzała się.

- Nie każdy uważa mnie za diabelskie nasienie. Daj mi to - powiedział, zabierając jej filiżankę i wkładając ją do zlewu. Znalazł zwykłą herbatę w torebkach i zalał jedną wrzątkiem.

Faith skinęła głową w podziękowaniu, kiedy postawił przed nią pełną filiżankę.

- Dawno tu mieszkasz? - spytała, wsypując łyżeczkę cukru.

- Kilka miesięcy.

- Myślałam, że dłużej. To bardzo miła chata, robi wrażenie zamieszkaną przez długi czas.

- Bo tak było. Ja tylko wynajmuję to miejsce do czasu...

- Urwał gwałtownie, jakby przestraszony tym, co chciał powiedzieć.

- Do jakiego czasu? - ponagliła.

- To nieważne. Chyba nie masz zamiaru kontynuować śledztwa, prawda? Jeśli tak, to zaraz będziesz płynąć do Black Cypress wpław. - To była czcza groźba i Faith o tym wiedziała, ale i tak poczuła się urażona.

Długi czas milczała, smarując w skupieniu masłem kawałek razowego chleba.

- A czy wolno zapytać o tę przyjazną osobę, która piecze ten pyszny chleb?

- Nie. To znaczy, ta osoba nie chciałaby, żebym o niej mówił. Lubi się trzymać na uboczu.



- Rozumiem.

Jones poczuł się dość niezręcznie. Chciałby, żeby naprawdę rozumiała, że on nie ma wyboru.

Kiedy cisza zrobiła się kłopotliwa, pierwszy ją przerwał.

- Możesz spać w moim łóżku.

Głowa Faith drgnęła gwałtownie. Dziewczyna popatrzyła na niego zdumiona, czy nawet przestraszona.

- Ja będę spał na kanapie - dodał szybko. Celowo chciał ją sprowokować; wiedział o tym i czuł się winny. Ciekawe, jaka byłaby jej dalsza reakcja, gdyby nie uściślił propozycji. Nie wyglądała na taką, która idzie do łóżka z przypadkowym mężczyzną, choć okazała mu niedawno wyraźne zainteresowanie.

To zresztą jałowe spekulacje. Nawet gdyby chciała, nie mógłby się zgodzić. Nie mógłby pójść do łóżka ani z Faith Kimball, ani z żadną inną kobietą. Boże, cóż to za przykra świadomość.

Faith ziewnęła szeroko.

- Co za męczący dzień! Mam ochotę już się położyć, ale naprawdę nie chcę cię wyrzucać z twojego łóżka. To ja mogę spać na kanapie. - Popatrzyła na niego absolutnie niewinnym wzrokiem.

- Nie, śpij w łóżku. Ja i tak często sypiam na kanapie - obstawał przy swoim Jones.

Faith skinęła głową, dziękując mu za gościnność. Za chwilę zobaczył tylko jej białe stopy wspinające się po stromych schodkach na górę.

Może powinien dać jej jakieś skarpetki... Teraz za późno. Faith i łóżko w pobliżu to była zbyt niebezpieczna kombinacja.

Była bardzo zmęczona, ale nie mogła zasnąć. Pościel pachniała słońcem, mydłem i zdrowym męskim ciałem. Podsta-

wową przeszkodą były myśli: niespokojne, tłukące się po głowie pytania, na które nie było odpowiedzi.

Kim był Jones Larabee i dlaczego ukrywał się tu, na mozarach? Nie pasowały jej tłumaczenia typu ucieczka od alimentów albo podatkowe machinacje. Po prostu nie życzył sobie, żeby go znaleziono. Może miał za sobą jakieś załama nie nerwowe, może nie radził sobie z dotychczasowym życiem i zdecydował się na drastyczne rozwiązanie?

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, powiedziała sobie. Z tym mężczyzną nie powinna jej łączyć nawet przyjaźń. Czymkolwiek jest jego mroczna tajemnica, prawdopodobnie kryje sprawy przykre czy niebezpieczne. Jutro poprosi go o przewiezienie z powrotem do cywilizowanego świata. Po dziękuję mu za gościnę i niech to wszystko diabli wezmą.

Już o pół do siódmej była zupełnie rozbudzona. Nie było sensu leżeć dalej w łóżku. Cichutko zeszła na dół, drżąc i rozcierając ramiona. Na dole było o wiele zimniej niż tam, gdzie spała.

Teraz przydałby się kubek czegoś gorącego. Wczoraj widziała w kuchni dzbanek do parzenia kawy; poradzi sobie.

Gdy przechodziła przez pokój na dole, niechcący rzuciła okiem na swego gospodarza, rozciągniętego w niewygodnej pozycji na kanapie. Duża wełniana chusta, której użył jako przykrycia, zwinęła mu się wokół pasa. Długie, muskularne ciało było prawie całkiem odkryte, wystawione na chłodne powietrze poranka. Musiał to czuć, bo otulił się ramionami tak ciasno, aż mięśnie potężnych barków zaokrągliły się wyraźnie pod skórą.

Faith miała ochotę go przykryć, ale zrezygnowała. To zbyt intymny gest; gdyby się obudził...

Rozpaliła ogień na kominku i drugi raz znalazła się obok kanapy. Teraz popatrzyła dłużej, wstrzymując oddech. Jones miał na sobie krótkie szorty z miękkiego materiału. Niby

wszystko to, co było odkryte, już widziała, niemniej jednak... To był naprawdę kawał męczyzny.

Cicho ruszyła dalej, zostawiając za sobą te kuszące widoki. W pewnym momencie stanęła jak wryta. „Wydział Prawa Uniwersytetu Harvarda”. Na jego szortach widniał taki napis!

Jones Larabee jest prawnikiem, myślała, grzebiąc w szafce w poszukiwaniu kawy i papierowych filtrów. Jakoś nie mogła sobie tego wyobrazić, tak jak nie wierzyła w wersję Jonesa-przestępcy. Nie pasował do obrazu znanych jej prawników w wykrochmalonych koszulach i o krótko przystrzyżonych włosach, zadzierających nosa przed resztą świata.

Może był prokuratorem? Posłał do więzienia jakiegoś mordercę, a teraz tamten został przedterminowo zwolniony i go ściga... Myśl, że ktoś może chcieć zabić Jonesa Larabee, mocno ją zbulwersowała.

Kawa już się parzyła; Faith przechadzała się po wnętrzu chaty. Oglądała książki na półkach, magazyny z krzyżówkami, kasety. Wyglądało na to, że właściciel gustuje w klasyce: Mozart, Haydn, Czajkowski.

Nic więcej w otoczeniu nie odsłaniało osobistych upodobań czy sekretów mieszkającego tu człowieka. Już kierowała się w stronę kuchni, kiedy zauważyła otwarte drzwi schowka w ścianie. Nie, napomniała samą siebie, nie będę zaglądać. Szybko podeszła do schowka i chciała go zamknąć. Drzwi stawiały opór.

Otworzyła je szerzej, żeby sprawdzić, co przeszkadza. Schowek wypełniał stos myśliwskich i wędkarskich trofeów: głowy jeleni, wysuszone i polakierowane rybne łby, wypchany bażant i wydra, sztucznie upozowana na kawałku wyrzuconego z wody drewna. Faith przesunęła szybko jedną z jelenich głów spod drzwi i zaniknęła je. Nagle zobaczyła wiszącą w głębi na haku kurtkę ze znaczkiem na rękawie i nazwą szkoły średniej: „Holland High”.

- Czy znalazłaś już wszystko, co chciałaś? - usłyszała za sobą ostry głos.

Serce podeszło jej do gardła. Odwróciła się szybko, jednocześnie przyszedł jej do głowy tuzin możliwych wymówek. Kiedy jednak spojrzała w orzechowe oczy Jonesa, zdała sobie sprawę, że nie będzie umiała kłamać.

- Drzwi od schowka nie chciały się zamknąć - powiedziała, wytrzymując jego spojrzenie.

Stał bardzo blisko, mając na sobie tylko na wpół zapięte dżinsy. Górował nad nią swym potężnym wzrostem. Wiedziała już, czego bał się Hoady i paru innych ludzi z okolicy. Kiedy weszło się w drogę Jonesowi Larabee, jego reakcja była natychmiastowa i jednoznaczna.

- Przyszłam tutaj, żeby spojrzeć na książki - mówiła wprost. - Niczego nie dotykałam, poza tymi drzwiami. Taką mam naturę; otwarte drzwi szafy czy schowka mnie denerwują. Czy to ma jakieś znaczenie, że zobaczyłam stare trofea myśliwskie?

Nie odpowiedział, choć impet jego niemej agresji jakby się zmniejszył. Rozluźnił napięte mięśnie, zwinięte w pięści dłonie wyprostowały się.

- Wiedziałam, że lubisz zwierzęta - ciągnęła, nieco już ośmielona. - Wcale ci się nie dziwię, że nie masz ochoty oglądać na okrągło tych wypchanych zwłok. Niczego więcej się nie dowiedziałam poza tym, że lubisz krzyżówki i klasyczną muzykę. Zresztą gdybyś nie był taki piekielnie tajemniczy, może nie byłabym taka ciekawska.

- Przynajmniej się do tego przyznajesz - powiedział i jakby cień rozbawienia przemknął mu przez twarz. Odstąpił o krok i gestem zaprosił ją do kuchni.

Nalał kawy dla obojga.

- Co chciałabyś na śniadanie? - zapytał lekkim tonem, jakby zapominając o przykrej konfrontacji.

- Zjem to, co ty. - Była zbyt głodna, żeby odmawiać.  
- Może ja coś przygotuję? - dodała, żeby nie nadużywać jego coraz mniej cierplivej gościnności.

- Dobrze - powiedział, pocierając z roztargnieniem kark. Faith zaczęła się zastanawiać, czy go po prostu nie boli głowa.  
- W lodówce jest szynka i jajka - dodał. - W pudle chleb, a w szafce na prawo płatki kukurydziane i mieszanka naleśnikowa.

Wyszedł z kuchni ze zmarszczonymi brwiami, jakby coś bardzo zaabsorbował. Po chwili Faith usłyszała szum wody.

Była tak głodna, że szybko zrobiła jajecznicę, dodając szynkę i grzanki. Właśnie stawiała dwa parujące talerze na kuchennym stole, kiedy Jones wyszedł z łazienki, pachnący mydłem i miętowym kremem do golenia.

Przynajmniej teraz miał na sobie koszulę. Jego naga pierś coraz częściej sprowadzała myśli Faith na manowce.

Usiadł bez słowa i zaczął jeść, ale po paru kęsach odłożył widelec i zamyślił się głęboko.

- Czy te jajka ci nie smakują? - zapytała.

- Hmm? Ach, nie, jajka są w porządku. Chyba nie jestem głodny. Posłuchaj... Kiedy tylko się spakujesz, odwiozę cię na kemping.

Faith skinęła głową. Serce jej się ścisnęło z żalu. Przez chwilę miała nadzieję, że Jones chce jej opowiedzieć o sobie i waży to w myślach. Wyglądało jednak na to, że myślał o czym innym.

Szybko skończyła śniadanie. Teraz nie było już sensu zwlekać. Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Zostaw te naczynia - powiedział Jones. - Trzeba już ruszać.

- Oczywiście - powiedziała z udanym ożywieniem. - Tylko się przebiorę. Zaraz będę gotowa.

Z ulgą stwierdziła, że nocna koszula i džinsy, które wczoraj rozwiesiła w łazience, są już suche. Rozpaczliwie brakowało jej stanika. Zeszłej nocy nie było czasu o tym myśleć, ale teraz od razu poczuła się nieswojo. Pewnie kobiecie o małym biuście nie robiłoby to dużej różnicy, ale jej piersi wcale nie były małe... Na szczęście czekający na zewnątrz Jones wręczył jej jakąś starą kurtkę. Przyjęła ją z radością; będzie wygodniej i cieplej.

Schodzili już po stopniach werandy, kiedy oczom Faith ukazał się szczególny widok. Kobieta masywnej postury, w kombinezonie i słomkowym kapeluszu, wciągała na brzeg mocno połatane, pokryte wieloma warstwami farby kanoe. No cóż, westchnęła w myśli Faith, albo to jakaś obca osoba, która nie wie o fatalnej reputacji Jonesa, albo to właśnie jest tajemnicza przyjaciółka, która przywozi chleb i ziołową herbatę.

- O, nie - jęknął na widok swego gościa Jones. - Akurat teraz...

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Jones zdał sobie sprawę, że nie umiałby zbyć Miss Hildy szybkim pożegnaniem, choć czuł się tak, jakby podczas snu ktoś rozłupał mu głowę siekierą. Stara znachorka wybrała niefortunny moment na wizytę.

- Dzień dobry, Miss Hildy - powiedział z rezygnacją, wyjmując jej z rąk papierową torbę na zakupy. - Wczoraj już mnie odwiedzałaś, prawda?

- Owszem, odwiedzałam - odpowiedziała wesołym głosem. Spojrzała na werandę, skąd Faith przyglądała się jej jasnymi, pełnymi ciekawości oczami. - Widzę, że to dziewczątko jednak cię znalazło - dodała z dwuznacznym uśmiechem.

- Wcale nie jest tak, jak myślisz - mruknął Jones. - Zresztą już wyjeżdżamy.

- Nie zamierzam was zatrzymywać - oznajmiła Hildy, choć właśnie zdecydowanym krokiem zmierzała w stronę chaty. - Przywiozłam ci miód. Wczoraj o nim zapomniałam.

- Ach, miód - powtórzył Jones sucho. - Z pewnością nie przeżyłbym dzisiejszego dnia bez miodu. - Podejrzewał, że wieść o jego nocnym gościu już popłynęła w świat. Hildy odwiedziła pewnie kawiarnię „3łękitna Wstażka”, gdzie sprzedawała czasem swoje wypieki; mogła tam spotkać zastępcę szeryfa. Ten nie omieszkał pewnie rozpowiedzieć, jak to Jones Larabee uwiódł niewinną mieszkankę kempingu, wykorzystując jej trudną sytuację.

- Widzę, że nie jesteś dziś w najlepszym nastroju - zauważyła Miss Hildy, wspinając się z wysiłkiem na schody.

- Znowu ból głowy?

Nie odpowiedział. Nie chciał psuć do reszty tego poranka dyskusją o swoich bólach głowy w obecności Faith. Zamierzał przedstawić sobie obie damy, które w milczeniu mierzyły się wzrokiem; Hildy go uprzedziła.

- Nazywam się Hildegard Ixman - powiedziała, wyciągając rękę do Faith - ale tutejsi nazywają mnie Miss Hildy.

- Faith Kimball. Już o pani słyszałam. - W głosie dziewczyny brzmiało podniecenie. - Jest pani żywą legendą tych stron, choć nikt nie umiał mi powiedzieć, gdzie pani mieszka.

- Bo nikt tego nie wie. Dlaczego chciała mnie pani znaleźć?

- Robię badania naukowe na temat społeczności z okolic Caddo Lake - jak tu życie, jak mówicie, co pamiętacie z dawnych dni...

- Rząd pani kazał? - zapytała podejrzliwie Hildy.

Faith energicznie pokręciła głową, aż jasne loki rozsypały się na wszystkie strony.

- Nie, to do mojej pracy doktorskiej. Z antropologii. - Zamilkła, chcąc się upewnić, czy Hildy ją rozumiała.

Twarz starej kobiety rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

- To tak jak stary doktor Alf. Zaraz, jak też on się nazywał? Kermit. Taak, doktor Kermit. On też był anter... pologiem. Pani go zna?

- A pani go zna? - odpowiedziała pytaniem Faith, widocznie zaskoczona.

- No pewnie! - Hildy odwróciła się w stronę Jonesa. - Nastaw kawę, kochany. Ja i ta panienska mamy wspólnych przyjaciół.

- Bardzo bym chciała porozmawiać z panią, Miss Hildy - powiedziała miękko Faith - ale Jones ma swoje



sprawy do załatwienia. I tak poświęcił mi wiele czasu, kiedy wiatr porwał mój namiot. Właśnie zamierzaliśmy tam wracać.

Jones słuchał z zaskoczeniem, jak łatwo Faith przeszła na tutejszy dialekt. Mówiła prawie tak samo dobrze jak on. Zdziwiło go też, że zrezygnowała z najlepszego fragmentu swojej pracy doktorskiej tylko dlatego, żeby nie sprawiać mu kłopotu.

- W porządku - powiedział. - Myślę, że starczy nam czasu na jeszcze jedną filiżankę kawy. - Wszedł do środka, żeby nastawić następny dzbanek. Obie kobiety zostały na werandzie, trąkocząc już jak najęte.

W zasadzie Jones nie miał nic przeciwko tej zwłóce. Przyczyną, dla której tak szybko chciał się pozbyć Faith, był ból głowy. Miss Hildy instynktownie odgadła, że męczy go kolejny atak. Czasami ten ból bywał tak mocny, że pozbawiał go możliwości normalnego działania. Nie chciał, żeby Faith widziała go w tym stanie. Poza tym ta obserwacja byłaby dla niej następnym kawałkiem układanki, z której w pewnym momencie mogłaby ułożyć całość. Do tego nie mógł dopuścić.

Dzisiejszy ból jakoś się nie pogarszał. Kiedy się nad tym zastanowił, odkrył, że głowa nie bolała go już od dobrych kilku tygodni. Dziwne.

Gdy obie panie wchodziły do środka na kawę, były już na etapie wymieniania kulinarnych przepisów i osobistych wspomnień, jakby się znały od zawsze. Jones poczuł bezsensowne ukłucie zazdrości. Hildy nigdy nie była wobec niego tak bezpośrednia i otwarta. Swoją drogą, bardzo trudno było nie otworzyć duszy przed Faith Kimball.

Krzętał się po kuchni, udając, że tamta rozmowa go nie interesuje. Z przyjemnością jednak łowił uchem zmysłowe tony w głosie Faith, które nasuwały mu na myśl ciepły letni wiatr i leniwe bzykanie pszczoł w ogrodzie. Był też aż zenu-

jąco zafascynowany pokrętnymi opowieściami Hildy. Dotąd nigdy nie mówiła o sobie ani słowa; to fakt, że on nic pytał.

- Więc nauczyła się pani zielarstwa od swojej babki? - pytała Faith. Wyjęła z torebki mały notesik i skrobała w nim zawzięcie. Miss Hildy to najwidoczniej nie przeszkadzało.

- Tak. Nazywała się Matilda Wilson - potwierdziła Hildy - i była Indianką Caddo pełnej krwi. Nie wiem, jak brzmiało jej plemienne imię. Wyszła za męża za białego człowieka i przejęła jego zwyczaje. Zachowała jednak to, co wiedziała o ziołach, ludowej medycynie i magii.

- Czy doktor Kermit sfilmował ją?

- Nie, kochaniutka, umarła na długo przedtem, zanim on do nas przyjechał.

- Ale mówi pani, że pani była w tym filmie? Nie mogę sobie przypomnieć... ale... zaraz - twarz Faith rozjaśniła się.

- Garda Vaughn, prawda? Teraz poznaję!

- Vaughn to nazwisko mężczyzny, z którym wtedy byłam - potwierdziła Hildy poważnie. - To on nazywał mnie Garda. Mówił, że to brzmi bardziej szacownie. Nikt inny tak na mnie nie wołał.

- To był pani mąż, John, czy tak?

- Miał na imię John, to prawda, ale nie był moim mężem. Żyliśmy ze sobą, po prostu. Stary doktor Alf myślał, że jesteśmy po ślubie, bo ja chodziłam z brzuchem. Sześć miesięcy to już widać, nie? Po co było mówić mu co inne... Myśleliśmy się pobrać jak należy, w kościele, ale... - przerwała, rzucając prawie przeproszające spojrzenie na Jonesa.

Był oszołomiony ze zdumienia. Nigdy nie przypuszczał, że Hildy kiedykolwiek żyła z jakimś mężczyzną, że miała dzieci. Co stało się z dzieckiem, którego spodziewała się trzydzieści lat temu? Nie wyobrażał sobie, jak mógłby ją o to zapytać; miał cichą nadzieję, że może zrobi to Faith.

Faith na razie odsunęła na bok własną ciekawość.

- Spotkałam już kilka osób z filmu doktora Kermita, ale większość z nich zapomniała o starych zwyczajach. Pani nie. Dlaczego?

Hildy wzruszyła ramionami i jakby zamknęła się w sobie.

- Nie mam przy sobie kamery - ciągnęła Faith, nie zniechęcona. - Bardzo chciałabym panią sfilmować. Czy nie mogłybyśmy spotkać się jeszcze raz?

Hildy znowu wzruszyła ramionami.

- Mam stragan przy szosie. Jones powie, gdzie to jest. Już dawno powinnam tam być, skoro o tym mówimy.

Jones pomógł starej znachorce spuścić kanoe na wodę i patrzył przez jakiś czas, jak odpływała. Hildy wcisnęła się w jego życie i jakoś ją zaakceptował, ale żadne z nich nie posunęło się do osobistych pytań. Jej zadziwiająco wyznania sprovokowane pytaniami Faith spotęgowały rozbudzoną ciekawość.

Odwrócił się. Faith stała tuż za nim.

- Dziękuję ci za ten czas, kiedy mogłam z nią porozmawiać - powiedziała poważnie. - To będzie dla mnie wspianiały obiekt do ankietowania. Pomyśleć tylko, prawdziwa znachorka. Czy ona przywozi ci tę okropną herbatę z jakiegoś konkretnego powodu?

Jones potraktował pytanie dość podejrzliwie, ale zachował obawy dla siebie.

- Może tylko ja daję się tym poić? - zażartował.

- Czy aplikowała ci jakieś inne kuracje?

- Nawet nie raz. Kilka miesięcy temu rozciąłem sobie dłoń. Pewnie nawet kwalifikowała się do szycia, ale nie miałem ochoty płynąć do miasta i szukać chirurga. Hildy akurat mnie odwiedziła. Położyła na ranę swój okład.

- No i co, pomogło?

- Tak. Zaraz się zagoiło. - Pokazał jej cienką bliznę, biegnącą od nasady wskazującego palca aż po nadgarstek. - A in-

nym razem... - urwał nagle. - Niech to piorun strzeli, jak ty to robisz?

- Co jak robię?

- Że tak gadam i gadam? To samo z Hildy. Ona nigdy nie rozmawiała na osobiste tematy.

Przekorny błysk ukazał się w oczach Faith, jasnobłękitnych jak rozjaśnione po burzy niebo.

- Czasami trzeba najpierw otworzyć własną duszę przed kimś, żeby otrzymać w zamian to samo.

- No dobrze - mruknął. Mógł przewidzieć, że to usłyszy.  
- Dajmy temu spokój.

Podróż do Black Cypress była bardzo przyjemna i o wiele za krótka, przynajmniej dla Jonesa. Powierzchnię wody pokrywały jeszcze różne śmieci, efekt minionej burzy, ale nic więcej na Caddo Lake nie wskazywało na niedawne szaleństwo żywiołów. Powietrze pachniało świeżością. Zielonoszarc pasma hiszpańskiego mchu kołysały się na łagodnym wietrze, na brzegu kwitły jaskrawo tutejsze kwiaty - orliki, dzikie nagietki, jasne powoje. Ból głowy minął bez śladu.

W pewnej chwili przełączył silnik na jałowy bieg, żeby Faith coś pokazać. Widok był na pewno niezwykły, ale mógł też przerazić dziewczynę.

- Popatrz tam - powiedział cicho.

Faith siedziała na tylnej ławce, wystawiając z lubością twarz na ciepłe promienie słońca. Odwróciła się i spojrzała we wskazanym kierunku.

- Aligator! Czy mógłbyś podpłynąć bliżej?

Jones posłuchał, ciesząc się z jej radosnego podziwu. Sam odczuwał to samo, kiedy zobaczył pierwszego aligatora na Caddo Lake. Ten nie był duży, miał nie więcej niż metr. Kiedy łódź podpłynęła zbyt blisko, zsunął się z kłody, na której też wygrzewał się w słońcu, i zaskakująco szybko zniknął w głębinie.

- O Boże, co bym teraz dała za kamerę!

- Niedaleko mojej wyspy można zobaczyć większego - powiedział. - Może kiedyś mogłabyś... - Nie, dość tego, zmytygował się Jones. Na pewno nie zamierzał zapraszać jej tu drugi raz. Odchrząknął i dokończył: - Słyszałem, że koło kempingu w State Park jest prawie dwumetrowy aligator.

Widok, który powitał ich w Black Cypress, był dość żałosny. Starsi paristwo, którzy ubiegłej nocy biadali nad swoim zniszczonym wozem, dziś wyglądali na ostatecznie pogiębionych sytuacją. Robili sobie skąpe śniadanie pod płóciennym daszkiem. Drugi samochód nadal leżał przewrócony na bok; nikt się nim nie zajmował. Czerwony namiot Faith wisiał wysoko na sośnie. Cały teren zaśmiecony był połamanymi gałęziami, liśćmi i jakimiś mokrymi szczątkami, przyniesionymi nie wiadomo skąd. Hoady miał tu mnóstwo roboty, ale oczywiście nie można go było odszukać.

- To nie do wiary! - krzyknęła Faith, szybko ściągając z gałęzi swój biustonosz. - Ta głupia trąba wywiała mi z torby całą bieliznę!

Istotnie, okoliczne krzaki i drzewa obwieszane były interesującą dekoracją. Za najciekawszy eksponat Jones uznał parę czarnych koronkowych majteczek. Jaka kobieta bierze ze sobą taką bieliznę na kemping?

Ten szczególny rodzaj miałby ochotę lepiej poznać, skonstatował w myśli. Fatalne zachcianki, chłopie, dodał zaraz.

Z rumieńcem na twarzy Faith pozbierała swoje fatałaszkę, po czym obróciła tęskny wzrok na czubek drzewa.

- To był całkiem nowy namiot - narzekwała. - Jak ja go stamtąd zdejmę?

Wolał jej nie mówić, że namiot pewnie nie nadaje się już do użytku. Może jednak w środku jest jeszcze coś do uratowania? Nie chodził po drzewach od wielu lat, ale z tym powinno być tak, jak z jazdą na rowerze. Jeśli człowiek kiedyś się tego nauczył...

- Jones, nie - sprzeciwiła się, kiedy wspiał się na najniższą gałąź. - Naprawdę nie musisz tego robić.

- Żaden kłopot. - To mogą być moje ostatnie słowa, po myślał, znajdując oparcie dla stopy i podciągając się wyżej. Przy każdym ruchu czuł na sobie deszcz kropel spadających z wilgotnych gałęzi.

W połowie drogi zatrzymał się i spojrzał w górę. To jeszcze tak daleko. Wtem pośliznął się na mokrej gałęzi i obsunął spory kawałek, ale w końcu złapał równowagę. Poczł się prawie jak bohater. To ryzyko dodało mu nowych sił. Etotał do wiszącego na złamanym konarze namiotu i mocnym szarpnięciem sprawił, że czerwona płachta poszybowała w dół. Schodzenie okazało się chyba trudniejsze niż droga do góry. Na dole Faith czekała z sercem podchodzącym do gardła. Jak wiele razy ten mężczyzna ma dla mej ryzykować życie?

Kiedy wreszcie zszedł, o mały włos nie rzuciła mu się w objęcia.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - powtarzała bez tchu. - Naprawdę nie musiałeś tego robić.

- To było całkiem zabawne - powiedział, potrząsając mokrymi włosami. - Czy w namiocie było coś wartościowego?

- Śpiwór - odparła. - Obawiam się, że radio przepadło, a namiot jest całkiem do niczego. Powłoka się podarła, a... Jones, przecież to jest krew!

- Chyba tak - odparł, podnosząc skraj poplamionej koszuli. Wzdłuż paru żeber miał mocno zdartą skórę. - Skaleczyłem się pewnie wtedy, kiedy się pośliznąłem.

Faith skrzywiła się. Rana wyglądała na bolesną i prawie sama to odczuła.

- Pozwól mi to oczyścić. Mam w samochodzie apteczkę...

Jones potrząsnął głową.

- Nie, daj spokój, to nic takiego.

- Ale ty tyle dla mnie zrobiłeś. Piłam twoją kawę, przeze mnie nie spałeś we własnym łóżku...

Podniósł rękę i lekko dotknął ust Faith, jakby chciał powstrzymać potok jej słów; potem powiódł palcem po jej pełnej dolnej wardze tak miękkim i ciepłym gestem, że dziewczyna prawie przestała oddychać.

- Wcale nie czuję się pokrzywdzony - powiedział. - Ani trochę. Kawy mam jeszcze dużo, a na kanapie spało mi się bardzo dobrze. A co do mojego czasu... To coś, czego mam aż za dużo... choć z drugiej strony już niewiele.

Czuła, że w tych tajemniczych słowach kryje się coś, co chciał jej przekazać. Patrzyła mu w oczy, próbując odgadnąć więcej, ale znalazła w nich tylko głęboki smutek i żal.

- Co ci się stało? - wyszeptwała. Nie zamierzała wypowiedzieć na głos tych słów.

Jego oczy znowu zrobiły się czujne. Widziała to już nieraz.

- Nie musisz wiedzieć, co mi się stało - powiedział, opierając się o drzewo z wystudiowaną nonszalancją.

- Aleja...

- Już nic nie mów, Faith. - Przyciągnął ją do siebie. Zanim zdążyła ochłonać z zaskoczenia, pocałował ją. Nisko rozpostarte konary drzewa zasłaniały ich od strony drogi.

Naprawdę nie była na to przygotowana. Pierwsze dotknięcie jego ust było dla niej jak wstrząs. Ciało zeszytywniało w napięciu, a w głowie zakręciło się, jakby była na ruszającej nagle karuzeli. Stopniowo jednak doznania stały się dużo przyjemniejsze. Naprężone mięśnie rozluźniały się jeden po drugim, aż w końcu oparła się o Jonesa, chłonąc całą sobą ciepło jego ciała, mocny napór warg, jakby wyciskających na niej piętno posiadania.

Miała dziwne wrażenie, że już zna te wargi. Przypomniała sobie, skąd. Już raz przyciskał usta do jej ust, z całkiem innej

przyczyny. Wtedy, kiedy wraz ze swoim oddechem dawał jej z powrotem życie. Teraz przywracał życie jej duszy.

Czekała na ten pocałunek od chwili, kiedy zobaczyła go wczoraj rano. Boże, na tego mężczyznę czekała przez całe swoje życie. Pachniał sosną i mydłem; ten zapach krążył w jej snach przez całą ubiegłą noc. Spijała to wszystko zachłannie, dziwiąc się, jak zwykły pocałunek może przeniknąć całe ciało taką błogością.

Uścisk Jonesa miał w sobie jakąś rozpacz; język tak mocno wdzierał się do jej ust, ręce tak gwałtownie przebiegały jej plecy, płacząc się w długich włosach, jakby usiłował za wszelką cenę utrwalić te fizyczne doznania w pamięci. Poraziło ją dziwne przecucie, jakby dla niego ten pocałunek nie był początkiem; był zakończeniem i pożegnaniem.

Ta myśl sprawiła, że jej serce zaczęło bić jak szalone. Wplotła palce w gęste, brązowe włosy Jonesa i odrzuciła głowę w tył, oddychając głęboko i mocno. Zachęcony w ten sposób Jones znaczył pocałunkami drogę wzdłuż jej szyi. Końce palców trafiły na jej pierś, zawahały się, po czym wróciły z mocniejszym uściskiem. Musi to przerwać. Jeśli nie przerwie, straci nad sobą wszelką kontrolę. Próbowwała wypowiedzieć jego imię, ale zabrzmiało to jak pełen desperacji jęk.

Głośny hałas metalowych naczyń przywrócił ją do rzeczywistości. To starsze małżeństwo w pobliżu skończyło śniadanie. Niezbyt fortunne miejsce na zmysłowe objęcia, pomyślała, chociaż być może dla nich ostatnie i jedyne.

Jones odczuł zmianę w jej zachowaniu i podniósł głowę. Powoli ujął ją za nadgarstki i zdjął jej ręce ze swoich ramion. Faith cofnęła się o krok, ale nadal patrzyła mu prosto w oczy. Na jego twarzy malowała się teraz wystudiowana obojętność. Jedyne unosząca się gwałtownym oddechem pierś wskazywała na to, co działo się niedawno.

Faith wiedziała, że tylko ten zrobiony przed chwilą krok



do tyłu broni ją jakoś przed tym, żeby nie rzucić się znowu w jego ramiona. Gwałtownie odwróciła się i skierowała w stronę pozostawionych rzeczy. Słyszała, jak sosnowe igły trzeszczą pod jego stopami, kiedy szedł za nią. To nie będzie łatwe, myślała. Ani dla niego, ani dla niej.

- Faith? - Jones przechylił głowę na bok, próbując zajrzeć w jej oczy. - Czy wszystko w porządku?

- To zależy. - Gniewnym ruchem strzepnęła wilgotny śpiwór, po czym zaczęła go zwijać, razem z ziemią i liśćmi.

- Zamierzasz teraz zniknąć z mojego życia, prawda?

- Wcale tego nie chcę, ale nie mam innego wyjścia.

- Dlaczego?

- Ponieważ tak będzie lepiej. Spróbuj mnie zrozumieć i nie pytaj...

- Nie rozumiem i będę cię pytać, do diabła. - Odrzuciła na bok śpiwór, ruszając napastliwie w stronę Jonesa. - Nie przestanę cię pytać, dopóki mi nie odpowiesz. Potrafię być tak samo uparta jak ty, wyobraź sobie.

- W to nie wątpię - Jones uśmiechnął się smutno.

Faith czuła, że nie ma już na co liczyć. Nie miał prawa całować jej tak, jak przed chwilą, a potem po prostu odejść, ale zamierzał tak właśnie zrobić. Spróbowała ostatniej szansy.

- Za parę tygodni będę znowu w okolicy...

- Nie mów mi o tym. - To zabrzmiało prawie błagalnie.

Starła się nie widzieć jego udręczonego spojrzenia.

- Jeśli odwiedziłabym wtedy twoją wyspę...

- Nie!

- Dlaczego nie?

- Bo wtedy zobaczysz, czego boi się Hoady i inni ludzie. Jeśli będzie trzeba, zawrócę cię z bronią w ręku. Chyba tego nie chcesz, prawda?

Nie odpowiedziała.

- Obiecuj mi, Faith, że nie będziesz próbowała znowu mnie zobaczyć. Obiecuj, proszę cię.

Nie mogła dłużej opierać się jego prośbom.

- Obiecuję - powiedziała przez zaciśnięte zęby. Ale to mi się nie podoba.

Jakby uspokojony, Jones podjął z ziemi rzucony śpiwór, wytrzepał porządnie i zwinął go na kolanie. Potem podał jej ciasne, schludne zawiniątko.

- Masz ładny uśmiech - powiedział miękko. - Chciałbym go jeszcze zobaczyć, zanim odejdę.

- Chyba żartujesz - odparła. Nie byłaby w stanie zdobyć się na uśmiech nawet za milion dolarów.

- Więc chyba czas się pożegnać - powiedział. Zbliżył się jeszcze o krok, po czym chyba rozmyślił się co do tego, co zamierzał zrobić. Ujął na chwilę pasmo jej włosów, potem odwrócił się i ruszył przed siebie.

Już kiedyś tego doświadczyła. Już kiedyś zostawił ją tak bez słowa, kiedy obok słyhać już było sygnał karetki. Czy teraz też nie odwróci się na jej wołanie?

- Jones! - zabrzmiało jakby bez udziału jej woli.

Odwrócił się i spojrział. Za to posłała mu uśmiech i poma-chała dłonią na pożegnanie. Odpowiedział tym samym gestem, jakby miał pobiec na chwilę do sklepu, a nie na zawsze odejść z jej życia. Potem poszedł dalej.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obiecała mu, że nie wróci na jego wyspę, ale nie obiecywała, że o nim zapomni. Nie przyrzekała też, że nie rozejrzy się tu i tam. Tak oto znalazła się w archiwum prasowym w Holland, w stanie Teksas, zagrzebana po uszy w starych wydaniach tygodnika „Holland Windmill”. Czy naprawdę Jones wyobrażał sobie, że zaintryguje ją paroma fragmentami swego życia, a ona zostawi to w spokoju?

Pewnie nawet nie wiedział o tym, o czym sama Faith przypomniawszy sobie w drodze do Dallas - w schowku była kurtka ze znaczkiem szkoły średniej i napisem „Holland High”. Holland było małym miasteczkiem blisko Dallas; prawdopodobnie wielka metropolia zagarnie je niedługo jako swoje przedmieście.

Przejrzała książkę telefoniczną. Nie było nikogo o nazwisku Larabee. Znalazła kobietę o nazwisku Hoffman, ale jej imię brzmiało Loraine, nie Mary Lynn.

Pamiętała inicjały L.J. na portfelu; sprawdziła więc Jonesów. Pasowało dwóch: Lawrence Jr. i Lyndon. Jakoś nie mogła wyobrazić sobie swojego Jonesa z którymkolwiek z tych imion, ale zadzwoniła pod podane numery. Jeden był wyłączony, pod drugim nikt nie odpowiadał.

W gazecie na szczęście natrafiła na niezły ślad. Numer sprzed sześciu tygodni zamieścił zawiadomienie o ślubie: „Mary Lynn Hoffman, córka pani Johnowej H. Hoffman i świętej pamięci pana Hoffmana, zawarła związek małżeński z Danem Dinsmore'em, synem...”

Faith nie mogła uwierzyć w to, co nasuwało się samo przez się. Czyżby Jones porzucił swe dotychczasowe życie tylko dlatego, że jego ukochana chciała wyjść za innego mężczyznę? Śmieszne! Mnóstwo ludzi dostaje kosza, z nią samą włącznie, ale nikt nie zaszywa się z tego powodu na moczarach, żeby tam dokonać reszty żywota.

Przyglądała się zdjęciu Mary Lynn w jej wymyślnej ślubnej sukni. Była naprawdę piękna, miała ciemne, długie włosy, oczy okolone gęstymi rzęsami i ładny uśmiech. Czy była warta tego, żeby kochać tylko ją jedną na wieki i to bez wzajemności?

Przerzucała dalej stare numery tygodnika, aż znalazła zawiadomienie o zaręczynach, cztery miesiące wcześniej, także z fotografią. Na zdjęciu był również narzeczony: przystojny, budzący zaufanie mężczyzna - ale jak można było woleć kogokolwiek, mając Jonesa?

Faith zrobiła sobie odbitkę zawiadomienia o ślubie, choć nie bardzo wiedziała, po co. W innych numerach nie znalazła już niczego interesującego, udała się więc na poszukiwanie telefonu. Chciała być pewna, czy to właśnie ta Mary Lynn, o której mówił Jones.

Owszem, jestem nieprzyzwoicie ciekawska, przyznała sama przed sobą; znalazła w książce nazwisko Dinsmore i wykręciła numer. Serce biło jej mocniej niż zwykle.

Usłyszała delikatny kobiecy głos.

- Czy to Mary Lynn? - zapytała.

- Tak, a kto mówi?

- Czy pani zna mężczyznę o nazwisku Jones?

Na chwilę zapadło milczenie. - Jones? Myśli pani o L.J.?  
Mój Boże, czyżby pani wiedziała, gdzie on jest?

Faith nie mogła pozostać obojętna wobec tonu rozpaczony w głosie Mary Lynn.

- Nie jestem pewna, czy mówimy o tym samym człowie-

ku - powiedziała z wahaniem. - Czy była pani z nim zaręczona?

W słuchawce znowu zapanowało milczenie.

- Tak, ale... on zniknął wiele miesięcy temu, we wrześniu zeszłego roku. Próbowaliśmy wszystkiego, żeby go znaleźć, choć nie zostawił żadnego śladu. Czy on nie... Czy wszystko jest dobrze?

- Zależy, co się rozumie przez „dobrze”. Żyje, jeżeli o to chciała pani zapytać. - Mary Lynn nie rozpaczła po nim zbyt długo, pomyślała Faith; zaręczynowy diament od Dana Dinsmore'a tak szybko znalazł się na jej palcu. Po tamtej stronie słuchawki usłyszała jednak cichy szloch.

- Czy może mi pani powiedzieć, gdzie on jest? - pytała Mary Lynn zdławionym głosem.

- Nie - odparła Faith bez wahania. Niewątpliwie los Jonesa nie był obojętny jej rozmówczyni, ale musiała dochować tajemnicy. Nie wybaczyłby jej nigdy, gdyby zdradziła jego kryjówkę. - On nie chce, żeby go znaleziono - powiedziała.

- A czy mogłaby go pani poprosić, żeby zadzwonił albo napisał... aby jakoś dał znać o sobie. Wszyscy odchodzili od zmysłów ze zmartwienia. On nie powinien być sam. On... nie jest sam, jak słyszę. Pani jest z nim, prawda?

Faith nie odpowiedziała.

- Czułabym się o wiele lepiej, gdybym wiedziała, że ktoś o niego dba. - W głosie Mary Lynn było tyle nadziei, że Faith musiała ją jakoś uspokoić.

- Ma kogoś, kto jest mu przyjazny - powiedziała, myśląc o Hildy.

- Kim pani jest? - Głos Mary Lynn stał się nagle mocniejszy, natarczywy.

Faith przestraszyła się i odwiesiła słuchawkę. Dowiedziała się tego, czego chciała, po co dalej ciągnąć rozmowę.

Wyjeżdżała z Holland z mieszanymi uczuciami. Z jednej

strony potępiała Mary Lynn za bezduszną zdradę, z drugiej strony czuła, że prawda jest dużo bardziej skomplikowana. Tamta kobieta miała naprawdę miły głos.

W swoim mieszkaniu w University Park zatrzymała się tylko na tak długo, żeby wrzucić parę ubrań do torby i zapakować kamerę wideo. Potem natychmiast wyjechała na trasę wiodącą w stronę Caddo Lake. Musiała przecież sfilmować Hildy, tłumaczyła sobie. W zeszłą niedzielę zlokalizowała wreszcie jej stragan, ale o tak późnej porze, że starej znachorki nie było już w pobliżu.

Tym razem pobiła rekord trasy i zatrzymała się tuż przy stoisku. Hildy była na miejscu, rezydując nad swoją zieleniną i leczniczymi korzeniami jak królowa. Słoiki miodu, chleby, ciasta, sadzonki miniaturowych pomidorów tworzyły przyciągające wzrok kompozycje.

Hildy powitała Faith z niepewnym uśmiechem.

- A więc jesteś tu znowu... Obawiałam się, że Jones wystraszył cię na zawsze.

- Bardzo się starał - odpowiedziała Faith. - Czy on traktuje w ten sposób wszystkie kobiety?

- Każdego, nie tylko kobietę, kto wejdzie mu w drogę. Z wyjątkiem mnie, oczywiście. Niełatwo jest wystraszyć starego człowieka. Ale wygląda na to, że ciebie też niełatwo - zaśmiała się przebiegle.

- Tym razem przyjechałam zobaczyć się z panią, nie z nim - odparła Faith, próbując w to uwierzyć. - Poza tym pani nie jest stara. Obejrzałam w tym tygodniu film doktora Kermita. Nie mogła mieć pani wtedy więcej niż trzydzieści lat.

- W czerwcu skończę sześćdziesiąt dwa - odparła Hildy. - Dla mnie to już starość.

Wygląda na bliższą siedemdziesiątki, pomyślała Faith, wkładając nową taśmę do kamery. Ciężkie życie wyrzyło głębokie bruzdy w jej twarzy.

- Ale jest pani zdrowa, prawda? Pewnie dzięki tym ziołowym herbatkom?

- Świeże warzywa są jeszcze lepsze, choć i ziołowa herbata nikomu nie zaszkodzi... ale z miodem zamiast cukru.

- Co w niej jest?

- Są różne zioła na różne dolegliwości.

- A to, co pije Jones?

- Nic niezwykłego, trochę szkarłatki, barwinka, ziele szanty, lawenda, rozmaryn... Nawet nie wszystko pamiętam.

- I na co to ma pomóc?

- Tak po prostu, na zdrowie. Jones lubi tę herbatkę, to mu ją robię. Na pewno lepsze takie ziółka niż te gazowane i słodzone paskudztwa, które pił litrami.

Gazowane napoje? Faith nie pamiętała, żeby miał je w domu.

Kontynuowała swój wywiad z Hildy, porzucając na razie temat Jonesa Larabee. Stara kobieta nie była dziś tak ożywiona, jak poprzednio, w domku na wyspie. Może przeszkadzała jej praca kamery? Faith podejrzewała, że chodzi o co innego. Już w czasie tamtej rozmowy wzmianka o mężczyźnie, który miał zostać jej mężem, była dla Hildy kłopotliwa. Dziś mówiła przede wszystkim o tym, co się zmieniło od czasów jej dzieciństwa. Starannie unikała tego, co dotyczyło młodości.

Może John ją porzucił? Może dlatego żyła samotnie na bagnach?

Faith nakręciła całe dwie taśmy i uznała, że na ten dzień wystarczy.

- Czy popłyniesz teraz do Jonesa? - zapytała Hildy, kiedy Faith pakowała kamerę.

- Musiałam mu obiecać, że tego nie zrobię.

- Musiałaś? Wół pasiasty! Aligatory mu rozum wyżarły, temu... - tu Hildy powoliła sobie na kilka jeszcze barwniejszych przekleństw, które przydałoby się nagrać. - Co się

z nim porobiło? Jeśli jakiś chłop na tym świecie potrzebuje kobiety, to właśnie Jones Larabee.

- Też tak uważam - przyznała Faith. - Ale on jest innego zdania. Miss Hildy, ja wiem, czemu on uciekł od ludzi.

Hildy uniosła pytająco brwi.

- Jedna głupia dziewczyna zostawiła go i wyszła za innego, a on to tak przeżywa. Przecież to idiotyczne! Wiem, jak to boli, kiedy się kocha bez wzajemności, ale żeby zaszywać się przez to na resztę życia gdzieś na bagnach... - Tu Faith gwałtownie podniosła rękę do ust. - Och, ja nie myślałam o...

Hildy przerwała jej gestem dłoni.

- Wiem, co miałaś na myśli. Na swój sposób masz rację. Jest sporo rzeczy, których mogę żałować po tylu latach samotności. Mój mężczyzna mnie nie porzucił. Umarł nagle, zanim zdążyliśmy się pobrać. A mój mały brzdąc przestał żyć, zanim naprawdę zaczął. Nie miał nawet tygodnia. Teraz myślę, że zabrali ze sobą do grobu jakąś część mnie.

- Och, Miss Hildy, tak mi przykro.

Stara kobieta machnęła ręką.

- Najgorsze mam dawno za sobą. I jest już za późno, żeby cokolwiek zmieniać w moim życiu. Dla Jonesa nie jest za późno.

- Obawiam się, że jest. On nie chce mnie już nigdy widzieć na oczy.

- Patrzcie go! To co on chce, a co będzie, to są dwie różne rzeczy. Popłyn tam i już.

- Obiecałam mu, że tego nie zrobię. Bardzo chcę mu pomóc, ale przyrzeczenia wolę nie łamać. Potem już nigdy by mi nie uwierzył.

- Hmm... - Hildy zamyśliła się na chwilę. - Coś ci powiem. Bądź jutro na przystani Sinclair o jedenastej. Już ja się zajmę resztą.



Jones sam nie mógł uwierzyć, że Miss Hildy go do tego przekona. Nie chciał widzieć Faith Kimball, ale też nie mógł zlekceważyć tego wezwania. Jeśli bowiem Faith odkryła prawdę, jak twierdziła Miss Hildy, trzeba przekonać ją, że to, co zrobił, było słuszne. Kiedy Faith uwierzy, że musiał zostawić rodzinę i przyjaciół, da mu wreszcie spokój. Jest rzecz jeszcze ważniejsza: musi przekonać ją do zachowania tajemnicy.

Z daleka wypatrzył ją siedzącą przy stole na tarasie przystani i w tej samej chwili zrozumiał, że nie wyobraża sobie odejścia Faith z jego życia.

Nigdy dotąd nie pragnął obecności żadnej kobiety, nie pragnął jej ciała tak, jak pragnął teraz Faith. Kiedy ją całował, czuł w sobie burzę bardziej gwałtowną niż ta, którą przeżyli razem na kempingu. Chciał się z nią kochać, pożądał jej z siłą, która przenikała każdą cząstkę jego ciała. Wiedział jednak, że musi pohamować swoje pragnienia. Nie może myśleć tylko o sobie.

Gdy przybijał do pomostu, Faith uśmiechnęła się do niego niepewnie i pomachała ręką. Miała na sobie bawełnianą bluzkę w różyczki i spódnicę ułożoną w fałdy. Wyglądała tak ślicznie, że Jones poczuł bolesny ucisk w piersi. Włosy z przodu zaczesła do góry i związała kolorową wstążką; reszta opadała luźno w wijących się loczkach i falach. Umalowała nawet usta. To, że tak się starała ładnie dla niego wyglądać, poruszyło go do głębi.

Zamiast jednak odpowiedzieć jej przyjaznym gestem, zrobił najbardziej chmurną minę, na jaką mógł się zdobyć. Przecież musiał ją przekonać, żeby zostawiła go w spokoju. Albo przede wszystkim przekonać siebie.

- Już się bałam, że nie przyjedziesz - powiedziała Faith lekko zdławionym głosem. Jones przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw.

- Nie dałaś mi wielkiego wyboru, prawda?
- Nnnie... rozumiem?

- Powinnaś pilnować własnego nosa i nie mieszać się w cudze sprawy. Hildy mówi, że wiesz już o wszystkim. Musiałem tu przyjechać i sprawdzić, czego naprawdę się dowiedziałas, i upewnić się, że nie rozniesiesz tego gdzie nie trzeba. Nie wiem, jak się dowiedziałas, ale pamiętaj, jeśli piśniesz o mnie choć słówko mojej rodzinie, skrucę ci kark.

Nie wyglądała na przestraszona. Nawet nie mrugnęła okiem. Widać było tylko, że jest jej przykro.

- Jones - zaczęła tak łamiącym się głosem, że musiała odchrząknąć i zacząć od nowa. - Jones, ja nigdy nie zrobiłabym niczego, co utrudniłoby ci życie. Musisz o tym pamiętać. Chcę ci tylko pomóc.

- A nie przyszło ci do głowy, że ja nie chcę pomocy?

- Może tak być, że nie chcesz, ale potrzebujesz. - Nagle podniosła głos. - Tak naprawdę najbardziej przydałoby się stuknąć cię porządnie w mózgowicę!

Jones nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- To ci dopiero terapia...

- Przynajmniej wymiotłaby ci z głowy te głupoty.

Ciekawe, od kiedy to się nazywa głupoty, pomyślał Jones.

- No dobrze, czego konkretnie się o mnie dowiedziałas? - zapytał z cieniem nadziei. Może jednak nie doszła prawdy?

Spojrzenie Faith powędrowało gdzieś w bok; po raz pierwszy podczas tego spotkania nie chciała patrzeć mu w oczy.

- Wiem, że Mary Lynn zostawiła cię na lodzie - powiedziała cicho. - Wiem też, jak to musiało cię boleć, skoro uciekłeś od świata aż tutaj. Powinieneś jednak jakoś się z tym uporać i zacząć normalne życie. - Spoglądała na niego przez spuszczone rzęsy, ciekawa jego reakcji.

Jones próbował zachować obojętny wyraz twarzy.

- Patrzcie państwo, a ja myślałem, że ty się specjalizujesz w antropologii, a nie w psychologii. Jak to wszystko odkryłaś?

- Byłam w twoim rodzinnym mieście. Ta kurtka w szoku miała nazwę szkoły. Nie znalazłam tam wprawdzie Jonesa Larabee, bo to pewnie zmyślane nazwisko, ale znalazłam Mary Lynn.

Panika ścisnęła mu gardło jak żelazna pięść.

- Rozmawiałaś z nią? Powiedziałaś jej, gdzie jestem? - dopytywał się tonem gniewnego oskarżenia.

- Rozmawiałam z nią przez telefon, ale nic jej nie powiedziałam. Nawet tego, jak się nazywam - odparła Faith, nie bardzo przejęta jego atakiem. - Powiedziałam tylko, że u ciebie wszystko w porządku. Bardzo ją to obchodziło, mimo że... hmm, no, porzuciła cię dla innego. Nawet zaczęła płakać.

- No i co, opowiedziała ci całą historię? - zdenerwował się Jones, dotknięty powracającym poczuciem winy.

- Nie musiała. Znalazłam... znalazłam coś w gazetach.

- Cóż takiego znalazłaś w gazetach?

- Może powinniśmy zmienić miejsce tej rozmowy? - powiedziała Faith, rozglądając się niespokojnie. Na przystani robiło się tłoczno. - To nie jest temat dla cudzych uszu. Może poszlibyśmy na spacer albo... w ogóle gdzie indziej?

Gdyby nie zaciekawienie tym, co też mogła wyczytać w gazetach, pewnie powiedziałyby „nie”. Jeśli jednak mają być sami, on ustali warunki.

- Niezły dziś dzień na łódkę - powiedział. - Popłyniemy.

Faith nie protestowała. Jones pomógł jej wsiąść do środka, zbyt późno zdając sobie sprawę, że nie powinien tego robić. Nawet krótkie dotknięcie jej dłoni wznieciło w jego ciele niechciany żar.

Gdy usiadła na drewnianym siedzeniu, wycofał łódź z doku i ruszył ostro przed siebie. Jego pasażerka podtrzymywała jedną ręką rozwiewające się włosy, drugą próbowała ogarnąć fruującą do góry spódnice, ale nie bardzo jej się to udawało. W pewnej chwili Jones zobaczył nawet kawałek smukłego

uda, kiedy wiatr poderwał wyżej rąbek spódnicy. Pomyślał wtedy o tych podniecających czarnych majteczkach, które widział na krzaku. Ciekawe, jaki kolor mają te, które dzisiaj włożyła, zastanawiał się. Kompletny idiota, dodał w duchu pod własnym adresem.

Myślał nawet o tym, żeby popłynąć na wyspę, ale wyperswadował sobie ten zamiar. Nie dałby głowy za swoją silną wolę, a Faith mogłaby chcieć go pocieszać jako porzuconego kochanka.

Na łódce było bezpieczniej. Znalazł mało uczęszczany zakątek pośród wodnych lilii i wyłączył silnik. Dzień był gorący i prawie bezwietrzny, południowe słońce przezierało przez liście, kładąc wokół płamy jasnego światła.

- No, powiedz mi teraz, co było w tej gazecie?

Faith bez słowa sięgnęła do torebki i wyciągnęła zwinięty kawałek papieru. Na moment zawahała się jeszcze, po czym wcisnęła mu go z zamkniętymi oczami, jakby zaczął parzyć.

Jones musiał dwa razy przeczytać nagłówek, zanim uwierzył.

- Wyszła za Dana Dinsmore'a? Za „Dołeczka” Dinsmore'a?

- Tak mi przykro, Jones. Może powinnam ci to przekazać delikatniej, ale naprawdę nie wiedziałam, jak to zrobić.

- No, no, dziewczyna nie traciła czasu, wiesz? Ciekaw jestem, jak długo byli zaręczeni?

- Ogłoszenie o zaręczynach ukazało się w pierwszym tygodniu października.

- W październiku! A ja wyjechałem niecały miesiąc wcześniej!

- To dobrze, że jesteś tylko zły. Obawiałam się, że będziesz bardzo przygnębiony.

Jones już nie mógł dłużej się powstrzymać. Ta cała szarada i ostateczne poczucie ulgi sprawiło, że zaczął się śmiać.

- Skądże. Nawet się cieszę, że wreszcie posłuchała mojej

radę i znalazła sobie innego mężczyznę, chociaż mogłaby trochę poczekać, dla zwykłej przyzwoitości. Ale „Dołeczek” Dinsmore? Nazywaliśmy go tak w szkole średniej, bo miał dwa... hmm, mniejsza z tym.

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteś zadowolony z tego, że ona wyszła za męża? - zapytała Faith, już dużo mniej rozczulona jego losem.

- No, prawdę mówiąc...

- To ona tylko tyle dla ciebie znaczy? Ty kłamco! Jeśli nie byłeś mną zainteresowany, to trzeba mi to było zwyczajnie powiedzieć, a nie zasłaniać się jakąś fikcyjną narzeczoną!

- No, no, nie rozpędzaj się. Wcale nie kłamałem. Gdy wyjeżdżałem, byliśmy wciąż zaręczeni z Mary Lynn.

- Ale wmawiałeś mi, że ją kochasz. Na pewno tak nie jest, skoro bawi cię fakt, że wyszła za kogoś innego.

Jones pomyślał chwilę, zanim jej odpowiedział.

- Mary Lynn i ja przyjaźniliśmy się od dzieciństwa; postanowiliśmy się pobrać, bo... no, nie wiem. Żadne z nas nie mogło znaleźć kogoś, kto by nas jakoś znosił, a my dwoje mieliśmy wspólny język. Tak... może rzeczywiście nigdy nie byliśmy w sobie zakochani, ale ona jest jedną z najlepszych dziewczyn pod słońcem. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym być w stosunku do niej... nielojalny...

A niech to, pomyślał Jones; zrobiłem zasadniczy błąd taktyczny. Tamto tłumaczenie mogło utrzymać Faith na jakiś dystans. Teraz przepadło. Gdy patrzył na szczególny wyraz zastanowienia w jej oczach, wiedział, że myśli o tym samym, co on.

Komar wielki jak helikopter uderzył ją w twarz. Machnęła ręką. - Może byśmy się stąd wynieśli?

- A dokąd chciałybyś popłynąć?

- Do twojej chaty - powiedziała wprost, uśmiechając się prowokująco. Miała go i zdawała sobie z tego sprawę.

- Skończyłaś już śledztwo? Jak widzisz, myliłaś się prawie we wszystkim. Nie ukrywam się na moczarach z powodu złamanego serca.

- Teraz już wiem. Czy dalsze pytania miałyby jakiś sens?

- Nie.

- Też tak uważam.

Sięgnął do klucza rozrusznika, po czym zatrzymał się.

- Faith, czego ty chcesz?

- Chcę mieć szansę lepiej cię poznać - odparła bez wahania. Już mu to raz mówiła.

Pokusa zabijała w nim resztki oporu. Dlaczego nie, pytał samego siebie. Dlaczego człowiek w jego sytuacji nie może nacieszyć się jeszcze jedną z nielicznych przyjemności, które mu w życiu zostały? Po co w ogóle opierać się ślicznej, upartej, ciekawskiej Faith?

- A co proponujesz w zamian? - zapytał.

- Jeśli nie życzysz sobie więcej pytań, mogę ich nie zadawać.

Uśmiechnął się, widząc jej entuzjastyczny optymizm.

- Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić - zauważył. - Pytaj, o co będziesz chciała, tylko po prostu nie miej mi za złe, jeśli czasami nie odpowiem.

- Dobrze. Czy to wystarczy?

- Nie. Masz mi jeszcze obiecać, że nie będziesz wracać do Holland. I nie rozmawiaj już z Mary Lynn.

- Ale ona tak się o ciebie martwi. Czy nie mogłabym tylko...

- Absolutnie nie. Wiem, że moi rodzice wynajęli prywatnego detektywa. Jeśli będzie jakiś telefon albo list, znajdą mnie.

Faith wahała się jeszcze, ale w końcu skinęła głową.

- Dobrze, będę się trzymać z dala od Holland.

- Jest jeszcze jedna sprawa. Prędzej czy później poproszę

cię, żebyś odeszła. Wtedy masz to zrobić bez żadnych pytań, bez scen i żalów. Po prostu pójdiesz sobie. Jeśli nie obiecasz mi tego, zaraz odwożę cię na przystań i to będzie naprawdę koniec.

Faith tym razem nie odpowiedziała od razu. Gryzła koniec kciuka, spoglądając na labirynt drzew i hiszpańskiego mchu. Powinna to dobrze rozważyć. Kiedy wreszcie odpowie, Jones musi uwierzyć, że dotrzyma słowa.

- Wiem, że to paskudny układ, Faith. Musiałabyś być szalona, żeby się na to zgodzić. - W głębi duszy jednak modlił się o tę odrobinę szaleństwa.

Kiedy wreszcie spojrzała na niego, miała oczy pełne łez. Serce w nim zamarło. Odmówi mu przecież, ale czy mógł ją za to potępiać?

Faith wyciągnęła rękę i mocno ujęła jego dłoń.

- Posłuchaj, Jones, czy jak ci tam naprawdę na imię. Zgadzam się.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy Jones prowadził łódź pośród bagien, Faith rozmyślała jeszcze nad swoją decyzją. Chciała mieć szansę, tę jedną szansę, żeby jeszcze być z nim, i żadna cena nie była zbyt wysoka. Czy jednak będzie czuła to samo, kiedy przyjdzie jej tę cenę zapłacić? Czy kiedy on powie jej „odejdz” za tydzień, miesiąc bądź za rok, będzie umiała dotrzymać danego słowa?

Musi i dotrzymać. Zaufał jej, otworzył przed nią część swego strzeżonego przed ludźmi życia i ona nie może go zawieść. Jedyną nadzieją jest to, że przez czas, który spędzą razem, dowie się, co popchnęło go w tę samotność. Wtedy spróbuje walczyć z tym kimś albo czymś, co stało się jej wrogiem.

Boże, on jest wart takiej walki. Nawet w tych wypłowiałych szortach i spranej żółtej koszuli jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znała. Cokolwiek mnie czeka, podejmam słuszną decyzję, uznała w końcu.

- Jak się naprawdę nazywasz? - zapytała, wiedząc, że pozwolił jej pytać.

- Jones - odpowiedział po chwili.

- A jak masz na imię?

- Powinienem przewidzieć, co mnie czeka, kiedy pozwoliłem ci zadawać pytania. Jeśli więc musisz wiedzieć, mam na imię Lawrence. Lawrence Jerome Jones.

- Lawrence? - Więc jednak, pomyślała. - Czy to się skraca na Lany-Jerry?



- Nikt nie nazywa mnie Lany ani Jerry. Nawet matka. Mów do mnie Jones albo LJ. Tak będzie najlepiej.

Przyjęła to z ulgą. Nie umiałyby nazywać go inaczej niż „Jones”.

- Czy jesteś prawnikiem? - padło następne pytanie po kilku minutach ciszy.

Trudno powiedzieć, jaka była jego wewnętrzna reakcja, bo wydawał się skupiony głównie na wprowadzaniu łódki na jej miejsce pod dachem.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- To całkiem proste - odparła, wzruszając ramionami. - Kiedy spałeś na kanapie, miałeś na sobie szorty z napisem „Wydział Prawa Uniwersytetu Harvarda”.

- A ty się przyglądałaś? Powinnaś się wstydzić. - Wyłączył silnik i wrzucił klucze do kieszeni.

To nieźle, że wraca mu dobry humor, pomyślała.

- Nie miałam wyboru. Leżałeś tam na wpół goły. Każdy mógł sobie pooglądać.

Przyjemny dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa, gdy przypomniała sobie tę scenę. Nawet teraz nie mogła powstrzymać się od swawolnych myśli. Mocowanie cumy rufowej zajęło jej sporo czasu.

- A więc jesteś prawnikiem?

- Tak. Ależ ty jesteś uparta! Co mam zrobić, żebyś zmieniła temat?

Wyskoczył z łódki z gracją dzikiego zwierzęcia. Podał rękę Faith. Ujęła ją, patrząc mu prosto w oczy; płonął w nich taki sam żar, jaki rozpałał się teraz wewnątrz jej ciała.

- Myślę, że znalazłby się sposób - powiedziała lekkim tonem, wychodząc na pomost. Zamiast po prostu puścić jego rękę, przesunęła końcami palców od nadgarstka aż do barku.

\* Najlepsza wyższa szkoła prawnicza w USA. Przyp. tłum.

Ta otwarta prowokacja odniosła pożądany skutek. Jones niemalże stracił oddech. Miała nadzieję, że od razu weźmie ją w ramiona. W ostatnim momencie jednak odsunął się, opanowując płomień, który mógł stać się początkiem pożaru.

- Z takim ciętym językiem to ty powinnaś iść na prawo.

Faith trochę zniechęcona szła za nim w stronę chaty. Nic mogła przecież jaśniej sygnalizować mu swoich zamiarów. Czyżby on inaczej zrozumiał to „poznawanie się lepiej”?

- Owszem, myślałam o tym, ale ojciec namówił mnie na antropologię- odparła, ujmując delikatne listki płaczącej wierzby, która rosła przy ścieżce. - Sądził, że to bardziej odpowiednia kariera dla ciekawskiej kobiety. Skąd mógł przypuszczać, że usiłując zrobić tę karierę, będę się tułać po bagnach w towarzystwie pijaków, kłusowników i innych przedstawicieli marginesu społecznego?

- Teraz przyszła pora na wyzwiska? - przekomarzał się z nią, otwierając drzwi drewnianego domu. Panował tam miły chłód, dający schronienie przed południowym słońcem.

Westchnęła zniecierpliwiona.

- Przecież nie mówię o tobie. Miałam na myśli ludzi, z którymi rozmawiałam, zbierając materiał do mojej pracy. Prawie ją kończę. Muszę jeszcze tylko opracować do prezentacji nagranie z Miss Hildy i zamieścić w pracy to, co mi powiedziała.

- A potem co?

- Chcę być wykładowcą, jeśli znajdę wolny etat na jakiejś uczelni. Przedtem zamierzam pozwolić sobie na zasłużone wakacje. Będę siedzieć z nogami na stole i pić piwo. - Tu padła na kuchenne krzesło dla zademonstrowania wakacyjnej pozycji. - Nie, jednak wolę lemoniadę. Od piwa kręci mi się w głowie.

- Rozumiem, że masz zamiar spędzić część z tych wakacji nad Caddo Lake?

- O ile mi pozwolisz. - Patrzyła na niego z wyzwaniem, jakby czekając na protest. Jones nagle spoważniał. Przysunął swoje krzesło bliżej i ujął jej dłoń, z roztargnieniem pocierając zgięte palce Faith stwardniałą poduszką kciuka. Jej ciało przenikał rozkoszny dreszcz.

- Faith, wiesz, że nie chciałbym cię skrzywdzić, prawda?

- Wiem, że nie chcesz, ale możesz to zrobić, nawet nie wiedząc kiedy, mimo najlepszych intencji. - Próbowwała zachować obojętny ton. - To jest ryzyko, które zdecydowałam się podjąć.

- Nie mogę zaproponować ci niczego na przyszłość, nawet na najbliższą przyszłość. Jest tylko tu i teraz. Jeśli to przyjmiesz...

- Przyjmuję - zapewniła. Czuła, że jest w nim już trochę zakochana; tak bardzo chciała wydobyć go ze stanu, w którym tkwił jak w półmroku. Intuicja mówiła jej, że kiedyś zobaczy go w pełnym słońcu.

- Zatem wszystko jest jasne. - Jego usta na dłuższą chwilę przyłgnęły do jej dłoni. - Jesteś głodna?

- Jeszcze jak. - Nie miała na myśli jedzenia. Napięcie pomiędzy nimi było teraz tak silne, tak wyczuwalne, że wyzwolenie mogło przyjść od jednego dotknięcia, jak burza dźwięków z naprężonych strun instrumentu.

- Chętnie zrobię coś na lunch - powiedziała - ale jest jeszcze jeden drobiazg... - Ujęła jego dłonie i pociągnęła w swoją stronę. Wstał z krzesła, przyglądając się jej uważnie. Rozpostarła ramiona, wciąż trzymając go za ręce, aż stanęli blisko siebie, pierś w pierś. Przybliżyła twarz do jego twarzy i zamknęła oczy, wierząc, że Jones pójdzie za głosem natury.

Nie doznała zawodu.

- To wcale nie jest drobiazg - zamruczał cicho. Pierwszy raz pocałował ją z ostrożną czułością, ale zaraz zapomniał o całym świecie. Porwał ją w objęcia, przyciskając jej

ręce do boków tak mocno, że nie mogłaby się wyrwać, nawet gdyby chciała. Na swych piersiach, przygniecionych uściskiem twardego, muskularnego ciała, czuła każdy jego oddech, czuła serce, bijące szalonym, wspólnym rytmem tuż przy jej sercu.

W tej chwili miała wrażenie, że nigdy nie nasyci się smakiem jego ust, świeżym zapachem natury, którym przesycone było jego ubranie i całe ciało. Aż westchnęła, kiedy przerwał ten pocałunek, ale Jones chciał tylko, żeby było im jeszcze lepiej. Objął ją delikatniej i uwolnił jej ręce, tak że mogła teraz otoczyć go ramionami, głaskać potężne mięśnie jego barków i pleców. Kiedy ponownie zaczęła domagać się pocałunków, Jones musnął tylko wargami jej usta, a potem wtulił jej głowę w zagłębienie swego ramienia i pieścił jej włosy.

- Mówiłaś, że chciałaś mnie lepiej poznać - zaczął łamiącym się głosem. - O ile lepiej?

- Dużo lepiej. - Spojrzała mu oczy głęboko i wymownie, żeby znaczenie tych słów nie budziło już żadnych wątpliwości. On musiał wiedzieć, że to nie jest zwykły flirt. Nie miała pojęcia, ile czasu będzie jej dane; nie chciała tracić ani minuty.

- Kiedy?

- Czy nie może być teraz?

Jones wziął głęboki oddech, potem powoli wypuścił powietrze.

- Teraz nie możemy. W tym momencie mojego życia pewne rzeczy są zupełnie wykluczone: nie wolno mi zostać ojcem.

Ach, więc o to chodziło, pomyślała Faith. Pochwaliła się w duchu za poczynione zawczasu zakupy.

- Nie mamy takiego problemu - oznajmiła, wysuwając się z jego ramion i sięgając do leżącej na stole torebki. Pogrzebała w niej trochę, wydając w końcu trzy płaskie, połączone ze sobą paczuszki.

- Jesteś bardzo pewna siebie, prawda? - Jones przyglądał się pakieczkom. - A może zawsze nosisz to przy sobie?

Gorący rumieniec wypłynął na jej policzki.

- Niczego nie byłam pewna, ale mam zwyczaj przygotowywać się na wszelką ewentualność. I wcale na co dzień nie noszę tego w torebce. Kupiłam je wyłącznie dla ciebie.

- Dla mnie? - Znaczenie tego faktu wreszcie do niego dotarło. Uśmiech na jego twarzy zgasł powoli, a oczy pociemniały z pożądania. - Teraz?

Tak, teraz, chciała odpowiedzieć Faith, ale tylko skinęła głową. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby czekać dłużej.

- Och, Faith... moja maleńka. - Przycisnęła ją znowu do siebie ze wszystkich sił. Słowa przestały już być potrzebne.

Tym pocałunkiem dał z siebie wszystko. Faith odpowiadała mu namiętnie, ściskając w dłoniach fałdy jego koszuli, żeby przyciągnąć go jeszcze bliżej. Jones natarczywym ruchem objął jej biodra. Pod Faith ugięły się kolana. Jones przytulił do piersi jej zarumienioną twarz. Przyłgnęła do niego całym ciałem, namacalnie czując wielkość jego podniecenia.

- Jak dobrze - szepnęła. To słodkie napięcie sięgało szczytu. Łóżko jest za daleko, pomyślała. Nieważne. Wsunęła dłoń między ich splecione ciała i zaczęła rozpinąć koszulę Jonesa, pieszcząc ustami odsłanianą pierś.

Gardłowy jęk kochanka potwierdził entuzjastyczne przyjęcie pieszczoty i rosnące w nim pożądanie. Ten dźwięk podniecił ją jeszcze bardziej. Chciała go teraz widzieć całego. Widzieć i czuć. Chciała uwolnić potężniejącą z każdą chwilą namiętność i pozwolić jej płynąć fala za falą.

Rozebrałaby go pewnie do naga już w kuchni, gdyby nie porwał jej w ramiona i nie unióśł w stronę schodów. Odpowiedziała niskim, gardłowym śmiechem, akceptując jego zamiary. Chciała przecież tego samego.

Dotarł do sypialni i ułożył ją delikatnie na łóżku. Przez

okienko w suficie padały na nich promienie słońca, tworząc jasny kwadrat na kolorowej kołdrze, jakby zapraszając ich do kochania się w tym oświetlonym miejscu.

Faith oczami duszy widziała już ich nagie ciała skapane w słonecznej powodzi i tęskniła do chwili, kiedy ubrania przestaną im przeszkadzać.

Jones przygotował jednak własny scenariusz. Powoli rozwiązał sznurówki jej płóciennych pantofli, zdjął je, po czym bez pośpiechu ściągnął z jej stóp różowe, koronkowe skarpetki i lekko przebiegł palcami po gołej skórze. Miły dreszcz wywołał na jej ciele gęsią skórę.

- Łaskocze? - spytał.

- Tu nie.

- A gdzie? - Gdy nie odpowiedziała, uśmiechnął się przewrotnie.

- Widzę, że będę musiał poszukać...

W pokoju zrobiło się bardzo ciepło. Faith z ochotą pozbyłaby się ubrania. Sięgnęła do guzika bluzki, ale Jones pokręcił głową i uśmiechnął się znowu.

- Ja to zrobię.

Położyła się więc na poduszkach, ręce wyciągnęła skromnie wzdłuż boków, ale w jej oczach igrał dalej wyzywający ogień, zachęcający Jonesa do spełnienia obietnicy.

Czekała jeszcze przez chwilę, kiedy zrzucił buty, a potem, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, również szorty i slipki. Zrobił to prawie bezwiednie. Jej zdziwienie zmieniło się w radosny podziw. Ciało tego mężczyzny powinno być uwiecznione w marmurze. Pokrywała je złocista opalenizna, poza wąskim pasem wokół bioder. Chciała dotknąć tego miejsca pośrodku, którego nigdy nie widziało słońce... I na to przyjdzie czas, pomyślała.

Pochylił się nad nią, opierając na rękach i kolanach, jak tygrys czatujący na zdobycz. Aż zadrżała wypełnym szczęścia

oczekiwaniu, hamując niecierpliwe pragnienie własnych zmysłów, wiedząc, że czeka ją jedna z najpiękniejszych przygód w życiu.

Nie mogła jednak pohamować swych rąk. Gdy Jones odpiął powoli guzik za guzikiem, całując w przerwach jej szyję i delikatne, miękko zaokrąglone ciało powyżej stanika, pozwoliła dłoniom na upojną wędrówkę. Chciała nauczyć się na pamięć każdego fragmentu jego ciała, zawłaszczyć je w ten sposób, cokolwiek by się zdarzyło.

Podniosła się, żeby mógł zdjąć jej bluzkę, i pozostała tak, bo Jones wsunął się między jej nogi i sięgnął obiema rękami do pleców. Odpiął biustonosz, a potem zwinnymi palcami dotykał każdego wrażliwego miejsca od szyi do pasa, akcentując tę cudowną stymulację pocałunkami składanymi na ramionach.

Gdy przerwał, Faith czuła, jakby jej ciało napełnione było płynnym miodem. Wyprostowała plecy i piersi wymknęły się z rozpiętego stanika.

Jones odchylił się i przez rozkosznie długi czas przyglądał się kształtnym półkulom. Potem wyciągnął rękę i gładził koniuszek jednej z nich, aż stał się twardym, różowym guziczkiem, a Faith straciła oddech z bezgranicznego pragnienia. Wtedy pochylił się i ciepłym językiem pieścił napiętą brodawkę; wreszcie objął ją ustami. Jego długie włosy opadły do przodu i ich jedwabiste pasma muskały drugą pierś.

Faith usłyszała głęboki, cichy jęk; ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że ten dźwięk wydarł się z jej własnych ust. Czy można umrzeć z tak niewiarygodnego pożądania, zastanawiała się, będąc na granicy świadomości. Tak bardzo chciała zedrzeć z siebie resztę ubrania, objąć Jonesa i poczuć go w sobie już, zaraz, ale jej ciało ogarnął dziwny bezwład. Nie robiła więc nic poza radosnym napawaniem się tą rozkoszną torturą i przyzwalaniem na tempo, jakie przyjął kochanek.

W którejś chwili usłyszała szelest rozsuwanego zamka. Zdejmował jej spódnice, nie przestając pieścić językiem piersi. Została tylko w białych jedwabnych majteczkach, ale nie czuła wstydu ani obawy. Jak na ludzi, którzy znali się tak mało, łączyło ich poczucie niezwyklej wzajemnej ufności.

Jedynie przez krótki moment czuła się mniej pewnie; Jones przyglądał się bliźnie na jej udzie.

- Zostaw ją - powiedziała, przykrywając dłonią wyrzucony ślad. - Jest okropna.

Jones delikatnie usunął jej rękę.

- Nie jest okropna. Jest częścią ciebie, a wszystko w tobie jest piękne.

Wzruszyła się tymi słowami, choć wciąż nie lubiła swojej blizny. Dotknęła tej drugiej, na czole.

- Doskonałość jest nużąca - dodał, całując cienką, białą linię nad brwiami, po czym pochylił się do jej uda i przesunął językiem wzdłuż dawnego szwu. Jej skóra była tu niezwykle wrażliwa, bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu. Całe ciało Faith wygięło się w odpowiedzi; blizna też może mieć swoje zalety.

Potem język Jonesa powędrował w inne rejony, odnajdując kolejne czułe miejsce po wewnętrznej stronie lewego uda. Faith śmiała się i obracała na wszystkie strony, zachwycona tą nowo odkrytą przyjemnością. Ten śmiech zamarł na jej ustach w chwili, kiedy Jones zsunął w dół jedwabne majteczki i bez ostrzeżenia przycisnął język do najwrażliwszego, najbardziej intymnego miejsca.

Zanim zdążyła ogarnąć myślą, co się dzieje, jej pożądanie dosięgło szczytu, oczy zamgliły się i ułamku sekundy znalazła się w rwącym nurcie najwyższej rozkoszy, tracąc wszelki kontakt ze światem. Fale tej cudownej rzeki ogarniały ją znowu i znowu, coraz wolniej, aż pod powiekami pozostało tylko



delikatne lśnienie, jakby jej ciało rozpułyneło się w morzu jasnego blasku.

Kiedy wróciła do rzeczywistości, czuła na skórze cienką warstwę potu. Jones trzymał ją w objęciach, przyglądając się Faith z dziwnym wyrazem twarzy.

- Powinnaś mi powiedzieć, że potrafisz utonąć w najważniejszym momencie - żartował, choć Faith czuła jakiś lęk, kryjący się za tymi śmiałymi słowami.

- To ty powinnaś mnie ostrzec. Nie spodziewałam się, że to będzie taki moment. - Tę niesłuszną pretensję natychmiast złagodziła pocałunkiem, potem jeszcze jednym i jeszcze... Zanim się spostrzegła, już leżeli spleceni ciasno ze sobą.

Teraz nadeszła jej kolej. Bez cienia wstydu, zaskakując samą siebie, wyciągnęła rękę i dotknęła go. Miał już na sobie zabezpieczenie.

- Kiedy zdążyłeś ją nałożyć? - zapytała zdziwiona.

W odpowiedzi jęknął tylko, bo przecież czekał już od dawna. Faith z pasją zajęła się odkrywaniem wrażliwych miejsc jego ciała. Kiedy skończyła tę przyśpieszoną wycieczkę, była równie blisko szczytu jak on.

Opadła na plecy i przesunęła go pomiędzy swe rozłożone nogi. Nie potrzebował dalszej zachęty. Z czułą dbałością o jej doznania powoli wszedł w nią; oszłamiające napięcie pełnego zespolenia natychmiast ogarnęło ich oboje.

Jones kochał się z nią jak poeta. W jego ruchach była gwałtowność, ukryta siła muskularnego ciała, która prawie pozbawiała ją tchu, ale nie było w nich brutalności. Patrzył jej w oczy, cały czas pilnie zważając na jej reakcje.

Wspólnie osiągnęli rozkosz. Jones wykrzyknął jej imię, a Faith przywarła do niego z całą siłą, marząc, żeby tak zostać na zawsze.

Jones z trudem uświadamiał sobie, co się stało. Nigdy, z żadną kobietą nie kochał się tak jak z Faith. Dopiero te-

raz wiedział, jak bardzo trzymał na wodzy swoje prawdziwe ja-

Odgarnął z twarzy Faith wilgotne pasmo włosów, kiedy przytuliła się do niego sennym ruchem. Jej ciało było jeszcze zaróżowione od niedawno zaznanej rozkoszy.

Mimo że byli ze sobą po raz pierwszy, nie czuł ani odrobiny niepokoju; pełnią zmysłów przeżywał to cudowne doświadczenie. Faith była czarodziejką. Uspokajała jego nerwy, jednocześnie rozpalając płomień w każdej cząstce jego ciała.

Nie ruszał się teraz, nie otwierał nawet oczu w obawie, że to słodko pachnące zjawisko, które trzymał w ramionach, może zniknąć jak dym. W ciągu minionej godziny całe jego życie zmieniło się zupełnie. Zamiast ciągu szarych dni, pustego łóżka i bezsennych nocy, miał przy sobie Faith, jej nieodparty optymizm, który działał jak balsam na jego duszę, jej ożywiająca słowa i podniecające ciało.

Wiele razy dotychczas zadawał sobie pytanie, czym zasłużył na swój straszny los. Teraz zastanawiał się, za co spotkała go tak wspaniała nagroda.

Zobaczył, że Faith obserwuje go już szeroko otwartymi oczami. Potarł jej płaski brzuch wnętrzem dłoni, zafascynowany reakcją Faith. Nie znał dotąd tak wrażliwej kobiety.

- Jesteś głodna?
- Wtedy byłam głodna.
- Ale wtedy nie myślałaś o kanapkach z szynką.
- I z musztardą?

Jones skinął głową.

- A możemy jeść w łóżku?

Pomysł miał swoje zalety. Jones chętnie spędziłby z nią tak blisko całe życie, rozmawiając o kochaniu się, o wielu innych ważnych sprawach.

Tylko że nie miał już przed sobą całego życia.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Następny tydzień był dla Faith prawdziwą męczarnią. Zaszła się w swoim mieszkaniu w Dallas, poprawiając treść rozprawy i ostateczną wersję nagrania. Pracowała w szaleńczym tempie. Do terminu obrony pracy został jej jeszcze miesiąc i nie dlatego się tak spieszyła. Najbardziej obawiała się tego, że przez czas rozstania Jones może zmienić zdanie i nie przyjmie jej z powrotem.

Kiedy w ubiegłą niedzielę odjeżdżała z Caddo Lake, Jones patrzył na nią w zamyśleniu, jakby chciał jej coś powiedzieć, ale nie mógł się na to zdecydować. Na przykład poprosić ją, żeby więcej nie przyjeżdżała, bo pomylił się, pozwalając na takie zbliżenie.

W piątek przejrzała swoją pracę i uznała, że już niczego w niej nie poprawi. Potem na chybił trafił wrzuciła do torby trochę ciuchów, odwołała przynoszenie poczty i gazet, załadowała samochód i ruszyła na wschód.

Dotarła do Caddo Lake tuż przed zachodem słońca, wyczerpana długą podróżą. Zatrzymała się znowu przy Black Cypress, gdzie wynajęła którąś ze zdemolowanych łódek Hoady'ego. Najchętniej wzięłaby łódkę od kogokolwiek innego, ale było już późno, a czas grał tu podstawową rolę. Choć polubiła dziwną, pierwotną przyrodę bagien, wołałaby nie mieć z nią do czynienia po nocy.

Gdy drewniana chata ukazała się przed jej oczami, zapadł już zmierzch. Świerszcze zaczęły swój wieczorny koncert,

a niebo ponad gęstwą gałęzi miało piękny, fioletowy odcień, który w oczach zmieniał się w nakrapiany gwiazdami granat. Gdyby Jones nie chciał jej przyjąć, miałyby prawdziwy kłopot.

Gdy przywiązywała łódź, usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi. Prawie obawiała się na nie spojrzeć. Czy zobaczy teraz chmurną twarz i usłyszy słowa odprawy, czy pełen miłej przekory uśmiech z obietnicą nowych chwil namiętności, za którymi tak tęskniła?

Gdy usłyszała kroki Jonesa tuż za sobą, odwróciła się wreszcie. Serce podeszło jej aż do gardła; miał zmarszczone brwi. Po chwili zauważyła jednak, że patrzy w ten sposób na łódź, nie na nią. Odważyła się odetchnąć.

- Znowu pożyczyłaś jakiś wrak od Hoady'ego?

- Spieszyłam się, a jego przystań była pierwszym miejscem, które znałam - broniła się. - Inaczej musiałabym czekać do rana.

Jones milczał przez chwilę, pomagając jej mocnym i ciepłym uchwytym dłoni wyjść z łódki. Wreszcie uśmiechnął się.

- To dobrze, że nie czekałaś do rana. - Bez ceremonii przycisnął ją z całej siły do piersi w gwałtownym powitaniu. - Boże, jak za tobą tęskniłem.

- To było tylko pięć dni - odpowiedziała głosem przytłumionym przez materiał jego flanelowej koszuli.

- Najdłuższe pięć dni w moim życiu. Bałem się, że nie wrócisz.

Morze ulgi wypełniło jej serce. Chciał, żeby wróciła. Tęsknił, nawet miał wątpliwości.

- Jak mogłeś w ogóle tak myśleć? Przyczepiłam się mocniej niż rzep. To ty nie wiedziałeś, czy naprawdę chcesz...

- Musiałem mieć nie po kolei w głowie - mówił, zanurzając dłonie w jej włosach i całując wargi tak namiętnie, aż krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Wątpliwości wy-

parowały jak poranna mgła w słońcu. Wypuścił ją z objąć tylko na chwilę, żeby zabrała z łódki swoją torbę. Gdy zamknęli za sobą drzwi, znowu była w ramionach Jonesa, czując jego smak, zapach i odnajdując wspomnienie; wspomnienie o tym, jak dobrze było im razem.

- Obiad jest w piecyku - powiedział niskim głosem.
- Czy ty zawsze w takich chwilach myślisz o jedzeniu?
- Próbuję być gościnnym gospodarzem.
- A czy obiad może troszkę poczekać?
- Nawet do śniadania...

Nie zdążyli dotrzeć do sypialni. Po dziesięciu minutach od przybycia Faith leżeli już na plecionym chodniku w salonie. Ubrania pofrunęły w pośpiechu na wszystkie strony; tak bardzo chcieli poczuć znowu wzajemną bliskość.

Słów padło tak niewiele. Nie potrzebowali słów. Usta i ręce Jonesa odnalazły jak przedtem każdy centymetr jej ciała. Faith odpowiadała dreszczami rozkoszy na każdą nową pieśczętę, a pulsujący żar w głębi jej brzucha domagał się uwolnienia. Nie mogła się nadziwić, że namiętność rozpala się w niej tak szybko.

- Gdzie... - zaczął Jones, a ona szóstym zmysłem kochanków odgadła, o co chodzi.

- Torebka jest na kanapie za tobą.

Sięgnął po skórzaną torbę, po czym wcisnął ją w ręce Faith.

- Nie chciałem cię ponaglać, ale...

- Nie bój się, sama muszę się spieszyć. - Włożyła rękę do środka i wyjęła to, czego szukała. Jones nawet nie rzucił okiem na niezwykle kolor zawartości pakieciku.

Położył się na plecach i przeniósł Faith na siebie. Po paru sekundach był już w niej i wchodził coraz głębiej tą cudowną, aż boleśnie rozkoszną drogą.

Jak mogłam przeżyć tyle lat, nie znając tego rodzaju spełnienia, myślała Faith. Jak będę mogła kiedyś się bez niego obyć, gdy je poznałam?

Kołysała się na brzuchu Jonesa, przywierając doń z nagłą zapalczywością. Bała się, tak bardzo się bała, że go utraci. Chciałaby umieć iść przez życie tak jak on, czerpiąc radość z chwili, nie myśląc o przyszłości, ale nie potrafiła dokonać w sobie takiej przemiany. Siła orgazmu doprowadziła ją do łez. Jones wkrótce podążył jej śladem. Potem objął ją czule, całując jej mokre policzki.

- Faith, maleńka moja, czy coś się stało?

Jak mogła mu powiedzieć, że już teraz boi się wygnania z raju, który się przed nią otwierał.

- Jak długo? - wyjąkała.

Zrozumiał, o co pytała.

- Bardzo chciałbym móc ci odpowiedzieć. Dni, tygodnie, może nawet miesiące... po prostu nie wiem.

- To za mało - odparła. Lata, dziesiątki lat, to też byłoby nie dość.

- Wiem. Proszę cię, nie smuć się.

- Nie jestem smutna. Tak naprawdę jestem bardzo szczęśliwa. Nigdy w życiu nie zaznałam takiego szczęścia jak przed chwilą, kiedy trzymałeś mnie w ramionach. Teraz boję się tego, co będzie.

- Nie myśl o tym, co będzie. - Ogarnął ją ramieniem i przyciągnął do siebie, zanurzając twarz w jej włosach.

- Nieraz nie umiem inaczej. To silniejsze ode mnie; pewnie tak zostałam wychowana. Mój tata przez całe życie pracował jak dziki osioł, oszczędzając pieniądze i planując, co będzie robił na emeryturze. Nigdy jej nie doczekał. Niedługo przed śmiercią powiedział mi o tym, ostrzegał, żebym nie powtórzyła tego błędu. Mówił, żebym cieszyła się życiem już teraz, kiedy jestem młoda, bo ono może skończyć się w każdej chwili.

- Amen, święte słowa. Mam nadzieję, że wzięłaś je sobie do serca.

- Nie od razu. Całą ubiegłą zimą obiecywałam sobie, że gdy tylko zrobię ten doktorat, zwolnię tempo. Ale chyba zda-  
wałam sobie sprawę, że tego nie zrobię. Myślałam na zapas,  
jakimi badaniami powinnam się zająć, kto to sfinansuje, co  
powinnam opublikować. Dopiero tamten wypadek mnie  
otrzeźwił. Teraz próbuję żyć bieżącą chwilą, ale to trudne, bo  
wbrew mojej naturze.

- A jeśli ta chwila jest wszystkim, co masz?

- A jeśli nie jest? - Zamyśliła się, przesuwając powoli  
dłonią po wypukło zaznaczonych mięśniach jego brzucha.

- Pamiętasz bajkę o koniku polnym? Całe lato wesołek grał  
na skrzypeczkach i śmiał się, podczas gdy mrówka ciężko  
pracowała, gromadząc zapasy. A kiedy przyszła zima...

Jones ujął szybko jej dłoń i przycisnął do ust.

- Dla nas nigdy nie będzie zimy, Faith. Tylko lato.

Powiedział to w ten sposób, że Faith zważyła w swoje  
wspaniałe plany. Jones zakładał tymczasowość ich związku.  
Chyba nigdy nie wydobędzie z niego prawdy ani tym bardziej  
nie zmieni jego zamiarów.

Tylko lato. Ta myśl sprawiła, że poczuła w piersi jakiś  
przytłaczający ciężar, choć nie okazała tego. Po co? Albo musi  
się przyzwyczaić, albo lepiej już dziś powiedzieć „do widze-  
nia”.

Przycisnęła mokrą od łez twarz do jego piersi. Delikatne  
brązowe kędziory łaskotały jej policzki i wplątywały się  
w rzęsy. Słyszała mocne, miarowe bicie jego serca, odlicza-  
jące sekundy i minuty wyznaczonego czasu, kiedy będą ra-  
zem.

Musi, na miłość boską, musi nauczyć się żyć tylko tu  
i teraz. Inaczej jej szansa na szczęście, choćby bardzo krótkie,  
w ogóle nie zaistnieje.

- Faith, jeśli zawsze zamierzasz płakać, kiedy będziemy  
się kochali, to nic z tego nie będzie.

- Nie zamierzam - odparła szybko, siadając i wycierając ostatnie ślady łez wierzchem dłoni. Jones leżał obok na dywanie jak nasycony kocur. Popatrzyła na niego i nawet udało jej się uśmiechnąć. - Nie możesz mnie teraz wyrzucić... Kupiłam potężny zapas prezerwatyw... Chyba na rok.

Odpowiedział jej swawolnym uśmiechem.

- W ciekawym kolorunku. Żółty jak kanarek... Gdzie to sprzedają, do pioruna?

- Kanarek to tylko początek - powiedziała znacznie weselszym tonem. - Co jest na obiad?

- Kurczaki z różną i pieczone kartofle. Jedno i drugie wyschnie jednak na wiór, jeśli zaraz nie weźmiemy się do jedzenia.

- A mówiłeś, że obiad może poczekać nawet do rana.

- No, trochę zełgałem.

Faith wcinała wiórowatego kurczaka, aż jej się uszy trzęsły. Jones przyjrzał się cieniom pod jej oczami.

- Czy ty w ogóle jadłaś i spałaś w zeszłym tygodniu?

- Prawdę mówiąc, niewiele. Ale pracę skończyłam.

- Czy mam cię tytułować „doktor Kimball”?

- Jeszcze nie. Muszę się obronić. Potem ceremonia w togach i biretach, dosyć śmieszna. Powinieneś to zobaczyć.

Bardzo chciałoby to zobaczyć. Tak wiele było rzeczy, o których nie mógł nawet myśleć. Na szczęście Faith nie wrywała się z zapraszaniem.

- Wręczanie dyplomu prawnikowi wygląda dość podobnie - powiedział.

- Masz rację. Gdzie praktykujesz?

- Czy masz więcej pytań?

- Pytam ot, tak, żeby podtrzymać konwersację. Nie musisz mi odpowiadać.

Wierzył jej. Nie widział w oczach Faith dawnej palącej ciekawości. Może rzeczywiście przystała na jego warunki?



- Pracowałem dla dużej firmy - zaczął.
- Prawo karne?
- Nie, handel, interesy.

Miał autentyczny talent do dramatycznej walki na sali sądowej, jednak nie przepadał za tym. Nie doświadczył przyjemności uprawiania typowej praktyki prawniczej; jego praca polegała na przebijaniu się przez gąszcz przepisów i uregulowań prawnych, dobieraniu kawałków układanki, aż sprawa była gotowa do obrony.

- Może już dasz spokój temu kurczakowi?

Faith skinęła głową.

- A co na deser?

Jones zastanowił się chwilę.

- Chyba nic. Jakoś ostatnio nie jadam słodczy. Kiedyś pochłaniałem je kilogramami, razem z innym niezdrowym jedzeniem. Hildy mnie przestawiła. Zielenina, owoce, razowy chleb...

- Ale masz miód, prawda?

Potwierdził.

- I masło orzechowe? Może jeszcze kakao?

Wyszukał dla niej w szafce te produkty i jeszcze inne, potrzebne do zrobienia na szybko kajmaku orzechowego, który można było jeść prosto z miski.

- Widzisz, jak radzi sobie łasuch w potrzebie - oznajmiła, oblizując łyżkę z rozmarzonym wyrazem twarzy. - Mniam, jakie dobre...

Jones popatrzył na nią i coś nie całkiem przyzwoitego przyszło mu do głowy.

- Mam bardzo odkrywczy pomysł, jak się to powinno jeść - oznajmił, gładząc ją po policzku.

Faith spojrzała na niego okrągłymi ze zdziwienia oczami, ale nie protestowała, kiedy zabrał miskę na górę.

- Jak krótko mam je obciąć? - zapytała.

Jones siedział przed dużym lustrem w łazience, odziany tylko w ręcznik zawinięty wokół szczupłych bioder. Faith stała tuż za nim w krótkim bawełnianym szlafrocisku, trzymając grzebień i nożyczki nad jego głową.

- Nie wiem. Nie za krótko. Żeby mi nie włąziły w oczy. Nawet nie miałem pojęcia, że są takie długie, dopóki nie zaczęłaś mi pleść warkoczyków.

- Lubię długie włosy. - Szczególnie jego włosy. Uwielbiała ten jedwabisty dotyk, kiedy owijała je wokół palca.

- Naprawdę? To może nie trzeba obcinać.

Była wzruszona, że jej opinia tyle znaczyła.

- Mogę je tylko wyrównać.

- Dobrze - skinał głowę. - Utnij, ile chcesz.

Faith nie była doświadczoną fryzjerką, ale nieraz przyglądała się zawodowcom i podejrziała niektóre techniki. Pracowała powoli, obcinając niewiele włosów za jednym razem i oceniając efekt w lustrze. Jones siedział z zamkniętymi oczami, zupełnie zrelaksowany. Naprawdę jej ufał.

Trudno było uwierzyć, jak dziwna i raptowna zmiana nastąpiła w jej życiu. Nieraz już angażowała się „na poważnie”, ale to w niczym nie przypominało tego, co działo się teraz. Pięć dni z Jonesem było rajem na ziemi. Łowili ryby, pływali, przyglądali się ptakom i zrywali dziko rosnące kwiaty. Gotowali razem i razem się kąpali. Czasami gadali do późna w nocy, a czasem przeżywali swe niezwykle, głębokie zespolenie w zupełnej ciszy.

I kochali się. Faith nigdy nie miała dość ich miłosnych zmagani, zawsze pragnęła więcej. Oddała Jonesowi nie tylko serce; oddała mu całą swoją duszę.

Ledwie widoczny cień przesłaniał ten kruchy świat z bajki. Zawsze pomiędzy nimi pozostawały te nie wymówione słowa, ta jedna największa tajemnica, której Jones nie chciał

przed nią odkryć. Starła się o tym nie myśleć. Nie zawsze było to takie łatwe.

Przeczesała znowu palcami jego włosy, wreszcie zadowolona z rezultatu. Wygładziła ciemnobrązowe pasma, po czym płynnymi ruchami zaczęła masować skronie i skórę nad uszami.

Zamruczał z zadowolenia.

- Przyjemnie, prawda? - Wzięła jeszcze raz nożyczki, żeby podciąć wystający z boku kosmyk. - O, a co to? - Przesunęła palcem po linii małych wzgórków za jego lewym uchem. - Wygląda na to, że nie tylko ja mam blizny. Co ci się sta...

Urwała nagle, bo Jones skrzył się jak wąż i złapał ją za przegub, odsuwając gwałtownie jej rękę.

Spojrzała do lustra i w jego oczach zobaczyła ten sam wyraz paniki, który widziała już wcześniej. Wtedy, kiedy za bardzo zbliżała się do prawdy.

Powoli jego uścisk zelżał.

- To nic takiego - powiedział, uśmiechając się nieszczerze. - Spadłem z roweru, kiedy byłem dzieckiem.

Uzucie rozczarowania ukłuło boleśnie jej serce. Drżącą ręką odłożyła nożyczki na półkę.

- Nie okłamuj mnie, Jones. Powiedz mi, że to nie moja sprawa, ale nie kłam. - Gwałtownie odwróciła się i wyszła z łazienki.

Oparł się łokciami na umywalce, trzymając za skronie, żeby przeczekać zawrót głowy. Niech to diabli, zapomniał o tej bliźnie. I tak to dziwne, że dotąd jej nie odkryła. Czy domyśla się, co ona znaczy? Czy już wie?

O Boże, Boże! Wiedział, że to piękno, ta jasność, które Faith wniosła w jego życie, były mu dane na ograniczony czas, ale miał nadzieję, że nie aż tak krótki...

Poszedł do sypialni, żeby coś na siebie nałożyć. Widział po drodze cień Faith w kuchni. Postanowił przez chwilę zo-

stawić ją samą. Poruszał się wolno, zwlekając, ale to nie mogło trwać w nieskończoność. W bawełnianym podkoszulku i dżinsach wszedł do kuchni.

Faith siedziała przy stole. Na blacie przed nią stygła kawa. Otworzył lodówkę, udając, że chce coś wybrać.

- Co wolisz na śniadanie? Naleśniki czy gofry?

Milczenie. Tego się właściwie spodziewał. Kiedy odwrócił się i zobaczył mroczny wyraz jej oczu, wiedział, że zabawa się skończyła. Teraz musi jej wszystko powiedzieć.

- Nie mogę tak dłużej - przemówiła wreszcie drżącym głosem. - Myślałam, że będę umiała, ale jednak nie.

- Faith...

- Pozwól mi skończyć. To nie twoja wina. Taki był układ. Niczego mi nie przyrzekałeś. To ja się na niego zgodziłam. Udawałam, że wszystko jest dobrze, ale to, że nie chciałeś mi zaufać, zjadało mnie od środka.

- Faith, ja...

- Nie będę nalegać, żebyś mi mówił coś więcej. Myślę jednak, że powinnam odejść, zanim... zanim będzie jeszcze gorzej.

Nie może już być gorzej, myślał. Nie miał nic do stracenia.

- Faith, chcę ci powiedzieć prawdę.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Jesteś pewien?

Skinał głową.

- Faith, przyjechałem tutaj, na bagna, bo... ja umieram.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Co?! - Jak mógł powiedzieć, że on... To absurd. Musiała go źle zrozumieć.

- Umieram - powtórzył, nie pozostawiając jej żadnych wątpliwości. - Mam przed sobą parę miesięcy, może tylko tygodni życia.

Pokręciła głową w bezwiednym zaprzeczeniu.

- Nie wierzę ci.

Jones westchnął, jakby tego się właśnie spodziewał.

- Czy wiesz, co to jest glejak zarodkowy?

- Nie. - Ale brzmi okropnie, pomyślała i poczuła dreszcze.

- To bardzo złośliwy nowotwór. Chirurg wyciął go z wnętrza mojej głowy, właśnie nad lewym uchem.

Faith patrzyła na niego tępo przez ciągnące się w nieskończoność sekundy. To nie mogła być prawda.

- Chcesz powiedzieć, że masz ra... - Ostatnie słowo uwięzło jej w gardle. Chrząknęła i zaczęła znowu. - Rak? Kiedy to się zaczęło?

- Nie pamiętam dokładnie... około półtora roku temu. Miałem wtedy potworne bóle głowy. Jakiś czas próbowałem je zignorować; myślałem, że to stres albo coś podobnego, ale w końcu prawie nie mogłem pracować. Poszedłem do mojego lekarza. Byłem pewien, że coś mi przepisze i poradzi, żebym po prostu zwolnił tempo. Ale sprawy potoczyły się inaczej. Posłał mnie do jakiegoś specjalisty, potem do jeszcze innego.

W końcu zrobili mi badanie NMR. Rezonans magnetyczny... trochę podobne do tomografii komputerowej.

- Wiem, co to jest NMR - powiedziała, walcząc z ogarniającą ją słabością. - Robili to tacie. Mów dalej.

- Znaleźli ten guz i powiedzieli, że umrę, jeśli się go nie usunie. Zalecili najostrożniejszą terapię skojarzoną - chemioterapię, chirurgię, leczenie promieniowaniem.

Aż wzdrygnęła się na myśl o tym, że ktoś rozcinał skalpelem jego głowę. A potem te trucizny. Wycieńczające cytostatyki i promieniowanie niszczyły jego silne, pełne życia ciało; ciało, które tak niedawno temu pulsowało seksualną energią, gdy wchodził w nią jak burza, kiedy się kochali.

- Przez następne miesiące pozostało mi tylko czekać. Moi rodzice bardzo to przeżywali.

- Każdy to tak przeżywa, przynajmniej na początku - powiedziała drętym głosem.

- Nalegali, żebym przeniósł się do nich, chcieli się mną opiekować. Nie zrozum mnie źle. Kocham moich rodziców i doceniam wszystko, co dla mnie zrobili, ale czasami nie mogłem już z nimi wytrzymać. Mary Lynn też myślała, że mi pomaga; naprawdę to robiła.

Faith wolałaby nie słuchać o Mary Lynn.

- Była przy mnie przez cały czas. Mówiłem jej, że powinna przestać myśleć o ślubie, ale nawet nie chciała słyszeć o zerwaniu zaręczyn.

- Była ci chyba bardzo oddana.

- Na pewno, i to mnie powinno podnosić na duchu. Ale tak nie było. Odbierałem to wszystko jak jakiś koszmar. Mary Lynn starała się być silna, uśmiechnięta, ale w jej oczach widziałem ból... nie, nie ból. To była groza, strach. Nieraz, kiedy myśleli, że śpię, słyszałem, jak ona i matka płakały.

- Ale przecież poczułeś się lepiej - powiedziała Faith

szybko, czepiając się resztek nadziei. - No, przecież widzę, że jest dobrze...

Pokręcił głową.

- Na pewien czas na pewno. Kiedy skończyło się leczenie i zacząłem przybierać na wadze, kiedy odrosły mi włosy...

- Twoje włosy! - Faith aż krzyknęła. To jasne, że stracił włosy. Tak samo było z jej ojcem.

Uśmiechnął się smutno.

- Byłem łysy jak kolano. - Przeczesał palcami ciemne, błyszczące pasma, jeszcze wilgotne po fryzjerskich zabiegach Faith. - Myślę, że dlatego je zapuściłem. Cieszyłem się, że mam je z powrotem. Kiedy poczułem się lepiej, wróciłem do swojego mieszkania i do pracy. Wyniki ostatniego badania dawały duże nadzieje. Glejak często daje nawroty, ale po ośmiu miesiącach od pierwszej diagnozy niczego już nie stwierdzono. Mary Lynn zaczęła mówić o weselu.

Przerwał, chodząc po kuchni jak zwierzę w klatce. Faith czuła, że do końca jego opowieści jeszcze daleko. Była o włos od tego, żeby poderwać się i uciec stąd; nie chciała słyszeć tej reszty. Reszta będzie najboleśniej, dla niego i dla niej.

- Bóle głowy wróciły - podjął wreszcie. - Doktor mówił mi, że jeśli będzie nawrót, to moje szanse na przeżycie są prawie żadne, nawet przy powtórzeniu całej terapii.

- I ty wybrałaś wariant bez terapii.

Jones nagle przybrał postawę obronną; skrzyżował ramiona, całe ciało zamarło w widocznym napięciu.

- Obiecuj mi, że nie będziesz taka sama jak oni. Przyjaciele, rodzina. Już raz przeszedłem przez to piekło. Nie ma sensu tego powtarzać.

- Jest sens! - sprzeciwiła się. - Mógłbyś przynajmniej dłużej żyć.

- Jest różnica między długością życia a jego jakością.

- Gdzie tu masz jakość? Zakopałeś się jak w grobie!

Na chwilę zapadło milczenie, po czym Jones uśmiechnął się.

- Nie było tak źle, zwłaszcza od momentu, kiedy ty się zjawiłaś. - Jego uśmiech zgasł. - Posłuchaj, Faith, tak czy owak mam umrzeć. Kilka miesięcy wcześniej czy później nie robi mi różnicy, szczególnie jeśli w tym czasie miałbym zadrećcać moją rodzinę. Nie chciałem, żeby patrzyli, jak umieram, i dalej nie chcę. Zamierzam spotkać się ze śmiercią po swojemu i tylko tak.

- Myślisz, że oni teraz nie cierpią? Gdybyś słyszał głos Mary Lynn...

- Nie mów mi już o Mary Lynn. Myślałem nad tym tysiące razy, ważyłem wszystkie za i przeciw. Podjąłem decyzję i będę się jej trzymał. Ty niczego nie zmienisz.

Odczuła teraz cały ciężar jego wyznania. Naprawdę miał umrzeć i nie była w stanie nic na to poradzić. Słyszała tak wiele o raku, kiedy uczestniczyła w spotkaniach dla rodzin pacjentów. Wiedziała, że guzy mózgu bywają szczególnie złośliwe.

Rak. O Boże, gdyby mogła walczyć z czymkolwiek innym. Pamiętała tak dobrze, jak umierał jej ojciec, powolnymi, bolesnymi etapami. Nie będzie umiała patrzeć jeszcze raz, jak umiera ktoś, kogo kocha.

Teraz wiele zauważonych szczegółów zaczęło mieć sens. To, że wypuścił złapaną rybę, że wyrzucił myśliwskie trofea do schowka. Życie miało dla niego taką cenę, że nie mógł zabić żadnego stworzenia, nie potrafił nawet o tym myśleć.

- Faith, proszę cię, nie płacz. Już tylu ludzi nade mną płakało. Nie jestem wart takiej żałoby.

Nie uświadomiła sobie nawet, że łzy strumieniami spływały jej po policzkach.



- A czego innego się po mnie spodziewałeś?
  - Miałem nadzieję, że spróbujesz o tym zapomnieć, tak jak cię prosiłem, i będziemy razem jak dotąd.
  - Jak dotąd? Ja... ja bym już nie mogła...
- Jones skinął głową, akceptując to wyznanie.
- Ale teraz przynajmniej rozumiesz, dlaczego nie chciałem ci powiedzieć prawdy.
  - Myślę, że tak - odparła cicho. Łzy kolejnym strumieniem popłynęły jej z oczu. Wiedziała, że płacz nic tu już nie pomoże. - Ja tylko... pójdę na chwilę gdzie indziej. - Wybiegła z kuchni i schroniła się w sypialni na górze. Stwierdziła z ulgą, że nie poszedł za nią.

Jones patrzył na całą scenę ze ściśniętym sercem. Miał nadzieję już nigdy nie widzieć takiego wyrazu bólu w oczach żadnej kobiety. Ale przecież musiał jej powiedzieć. Nie zostawiła mu żadnego wyboru.

Fakt, że ojciec Faith zmarł na raka tak niedawno, tylko pogarszał sprawę. Nie potrafiłaby patrzeć na niego bez uczucia grozy. Faith ma rację, powinna wyjechać.

Na myśl, że utraci ją już na zawsze, poczuł w sercu ostre ukłucie. Liczył się z tym, że kiedyś będą musieli się pożegnać, ale miał nadzieję mieć więcej czasu na to, żeby się przygotować. To, co go teraz spotkało, było jak cios obuchem w głowę: już nigdy nie będzie trzymał jej w ramionach, nigdy nie będzie się z nią kochał.

To było inne uczucie niż kiedyś w stosunku do Mary Lynn. To była prawdziwa miłość, taka, jaka spotyka człowieka tylko raz w życiu i w jaką dotąd nie wierzył. Dlaczego pojawiła się akurat teraz, kiedy on i Faith nie mają przed sobą żadnej przyszłości? Już myślał, że w swojej chorobie przeszedł przez wszystkie podręcznikowe etapy: zaprzeczenie, gniew, targowanie się z Bogiem, depresję, aż do akceptacji tego, co nieuniknione.

Teraz przerabia to od nowa, czuje bezsilny gniew, nie chce się zgodzić na swój los.

Przez kuchenne okno zobaczył jakiś ruch na zewnątrz. Rozsunął zasłony i wyjrzał. To była Miss Hildy, tocząca się ciężko przez podwórze. Jasny piorun, ale moment sobie wybrała! Jak zwykle zresztą.

Co jej powiedzieć? Zaraz, może jej przyjazd jest im nawet na rękę?... Otworzył drzwi, siłą się na uśmiech.

Miss Hildy ogarnęła go uważnym spojrzeniem i podała mu swoją torbę.

- Obciąłeś włosy.
- Faith mi je obcięła.
- Wyglądasz całkiem dobrze. Gdzie twoja dziewczyna?
- W sypialni. Hmm... Miss Hildy, chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Stara znachorka straciła swój radosny nastrój.

- O Jezusie, Jones, a cóż się stało?
- Chodzi o Faith. Chciałbym, żebyś ją stąd zabrała. Mógłbym sam ją odwieźć, ale lepiej będzie, jeśli pożegniam się z nią już tutaj. Im szybciej, tym lepiej.

Hildy spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Wiesz przecież, że moje kanoe nie wozi pasażerów.
- Możesz tym razem zrobić wyjątek. Poczekaj chwilę, już po nią idę. - Odwrócił się i poszedł na górę, nie słuchając pełnych podniecenia protestów Hildy.

Faith siedziała na skraju łóżka. Oczy miała suche, ale twarz ściągniętą i bladą jak papier. Dotknął jej rąk. Były zimne i wilgotne. Wyglądała, jakby przeżyła nerwowy wstrząs.

- Faith?

Ledwie go zauważała.

- Faith, kochanie, to chyba dobry pomysł, żebyś opuściła tę wyspę.

Prawie niedostrzegalnie skinęła głową.

- Miss Hildy zabierze cię stąd i dowiezie do samochodu. Zapakuję twoje rzeczy, dobrze?

Nie protestowała. Wyciągnął jej płócienną torbę i zaczął opróżniać szafę. Niektórych ubrań nie rozpoznawał. Faith była tu za krótko, żeby je nosić. Zdjął z wieszaka turkusową letnią sukienkę.

- Jaka ładna - powiedział. Faith nawet nie popatrzyła w jego stronę. - Mogłabyś ją włożyć.

Posłuchała bez słowa protestu, zdejmując bawełniany szlafrok ruchami nakręcanej lalki. Jones aż wstrzymał oddech, patrząc po raz ostatni na jej smukłe ciało. Kolana ugięły się pod nim; miał ochotę zwinąć się w kłębek na podłodze i stracić kontakt ze światem, jak Faith.

Na to będzie dość czasu później, pomyślał. Musi znaleźć w sobie resztki sił, jeszcze na parę chwil.

Kiedy skończył pakować rzeczy, sprowadził Faith na dół. Zdołała wybąkać do Hildy jakieś słowa powitania.

- Boże miłosierny, dziewczyno, co się z tobą dzieje? - zapytała stara kobieta bez ogródek.

Jones nie czekał na odpowiedź Faith. Wrócił do łazienki, żeby zapakować jej nieliczne przybory toaletowe i kosmetyki. Celowo zostawił na półce szampon, jakiego używała. Będzie mu przypominał zapach jej złotych włosów, w których zanurzał twarz, gdy leżeli razem w łóżku.

Serce ścisnęło mu się boleśnie. To będzie najtrudniejsza rzecz, jaka spotkała go w życiu. Trudniejsza nawet niż opuszczenie domu i rodziców.

Gdy wyszedł z łazienki, w kuchni obok były już Faith i Hildy. Stara kobieta krzątała się przy piecyku. Faith siedziała przy stole ze złożonymi przed sobą dłońmi, z twarzą bez wyrazu.

Hildy posłała Jonesowi kolejne potępiające spojrzenie.

- Ta dziewczyna nigdzie nie pojedzie, dopóki nie napije się mocnej, gorącej herbaty. Co ty jej zrobiłeś, Jones?

- Powiedziałem jej prawdę.
- A co to za prawda?
- Och, Hildy, przecież domyśliłaś się wszystkiego dawno temu. Czy muszę to wypowiadać słowami?

Wyraz twarzy znachorki zmienił się, jakby z tym i owym zaczęła się zgadzać.

- Myślałam kiedyś, że wiem, jak się rzeczy mają - mówiła. - Teraz jednak nie jestem już taka pewna. - Poczęła grzebać w przepastnej torbie, wyciągając swoje różności: korzonki, liście, płatki kwiatów.

Dotychczas nie przynosiła ziół w ten sposób. Skąd wiedziała, że dziś potrzebne będzie co innego niż zwykle przywożona zielenina, zastanawiał się Jones. Umieściła składniki w metalowej zaparzacze i włożyła ją do filiżanki z gorącą wodą. Gdy zioła naciągnęły, osłodziła napar miodem i postawiła przed Faith.

- Wypij - powiedziała.

Faith posłusznie upiła łyk, potem jeszcze jeden i następny. Gdy opróżniła całą filiżankę, wyglądała nieco lepiej. Przynajmniej nie była tak trupio blada.

- A teraz - poleciła Hildy stanowczo - jeśli chcesz jechać ze mną, powiedz do widzenia temu chłopakowi, ale nie trać na to całego dnia. Spóźnię się na swój stragan. - Złapała torbę Faith i wyniosła za drzwi, zostawiając ich samych.

Jones wręczył Faith dwie koperty, jedną adresowaną do rodziców, drugą do Mary Lynn. Napisał te listy jakiś czas temu, ale nie wiedział, jak je wysłać, żeby nie zdradzać miejsca swojego pobytu.

- Czy możesz je nadać w Dallas?

Skinęła głową i włożyła listy do torebki.

- Tak mi przykro - mówił bezradnym tonem. - Miałem nadzieję, że to skończy się choć trochę lepiej.

- To nie twoja wina. Sama tego chciałam...

To nie to, myślał. Chciała po prostu być ze mną. Pragnął jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha, ale każde słowo mogło przeważyć szalę. Mogło spowodować, że zmieni zdanie i zechce zostać.

- Lepiej już pojedę.
- Tak. O łódkę się nie martw. Odholuję ją do Hoady'ego.
- Dobrze, dziękuję. Będziemy w kontakcie.
- Nie, nie będziemy - powiedział stanowczo.

Nie oponowała. Pocałowała go w policzek, po czym uciekła biegiem, jakby ją diabeł gonił. Jones widział jeszcze przez okno, jak zdjęła sandały i brodziła w wodzie po kolaną w kierunku kanoe Hildy; uniosła przy tym rąbek sukienki, ukazując swe smukłe, kształtne nogi. Patrzył jeszcze, jak łódź prześliznęła się przez zakręt kanału i barwna, turkusowa plamka zniknęła mu z oczu. Potem usiadł przy stole i zagryzał usta, aż ucisk w gałkach ocznych przestał być tak dojmujący.

Faith była już w pół drogi do Dallas, gdy jej świadomość z powrotem się obudziła. Rozpoznawała tę drogę, gorącą wstęgę asfaltu pośród czerwonych wzgórz, choć nie mogła sobie przypomnieć, jak się tu znalazła. Spojrzała na swą turkusową sukienkę; nie pamiętała, dlaczego ma ją na sobie.

Potem nagle powróciło wspomnienie dzisiejszego poranka i musiała zjechać na pobocze, żeby nie spowodować wypadku. Oparła głowę o kierownicę, oddychając spazmatycznie.

Mój Boże, co ja zrobiłam, myślała. Jones, człowiek, którego kocha, powiedział jej, że umiera, a ona od niego uciekła? Jak może skazywać go na samotną śmierć? Jaka godna pogardy słabość mogła ją do tego skłonić?

Ty tchórze, mówiła sobie. To prawda, że Jones wykorzystał jej szok, stan podobny do katatonicznego osłupienia, by od-

prawić ją wraz z Hildy ze swojej wyspy, ale ona nie zdobyła się na żaden protest.

Ta Mary Lynn, która była pewnie nie mniej przerażona i widziała go chorego i słabego po wyniszczającej terapii, chciała z nim zostać do końca. A ona, Faith?

Czy właśnie w takich chwilach człowiek nie potrzebuje najbardziej akceptacji i miłości, która nie stawia warunków? Przecież ona może stawić czoło temu doświadczeniu. Nauczyła się być silna. Ojciec ją nauczył.

Z determinacją wrzuciła wsteczny bieg, zamierzając natchytnie zawrócić i pojechać nad Caddo Lake. Nie, zaczekaj, powiedziała sobie. Do takiego powrotu trzeba się przygotować. Teraz jest zbyt roztrzęsiona i słaba. Jones nie potrzebuje kogoś, kto by się użalał nad nim i nad sobą. To już robiła matka i Mary Lynn. Od tego uciekł.

Teraz pojedzie do Dallas i da sobie trochę czasu, aby przyjąć ten straszny cios, żeby się nauczyć z tym żyć. Przejrzy parę właściwych książek, porozmawia z onkologiem, który leczył jej ojca. Wtedy wróci, żeby być jego podporą... a może nawet przyczyną, dla której on spróbuje jeszcze walczyć, dla której będzie chciał dłużej żyć.

Razem stawiają czoło najgorszemu.

Jones czuł, że w głowie pracuje mu piła tarczowa. Leżał w poprzek łóżka w obciętych dżinsach, które miał na sobie od wczoraj, i wsłuchiwał się w ten upiorny dźwięk. Było już koło południa, sądząc z kąta, pod jakim przez świetlik padały tu promienie słońca.

Mógłby przypisać ten okropny ból głowy postępowi swojej choroby, gdyby nie to, że po podłodze walało się kilka pustych butelek po piwie. Wczoraj próbował zniwelować nim obrzydliwy stan użalania się nad samym sobą.

Cały tydzień jawił mu się w głowie tylko z a m a n ą plamą

Najpierw był smutny, potem tylko wściekły. Jak mogła tak łatwo go porzucić? Myślał, że jest silniejsza. Miał nadzieję, że kocha go taką miłością, jaką on zaczynał ją kochać.

Widocznie nie. Owszem, to on skłonił ją, żeby odeszła, ale mogła choć trochę walczyć, przejawić cię odwagi.

Tylko jedna rzecz nieco tłumiła ten tępy ból. Piwo. Wypił go więcej w ciągu tego tygodnia niż przedtem w ciągu całego życia. Przynajmniej wątroby nie zdąży sobie wykończyć. Rak dopadnie go wcześniej.

Chwilami miał jednak dosyć tej przyspieszonej kariery alkoholika. Piwo nie rozwiązywało problemu do końca. Kiedy budził się kolejnego dnia, cierpienie było przy nim znowu, mocne i przesywające.

Piwo natomiast mogło mieć coś wspólnego z jego niešťęsną głową, chociaż odgłos, jaki wydaje ta piła tarczowa, brzmi trochę dziwnie...

Otworzył oczy, budząc się już zupełnie. Z niechęcią zdał sobie sprawę, że ten dźwięk pochodził z zewnątrz. Motorówka. Akurat mi potrzeba towarzystwa, zachnął się w myśli. To pewnie ten zastępca szeryfa z byczym karkiem. Ktoś mu podobno powiedział, że Jones poluje w nieprzepisowym okresie i przyjeżdża powęszyć. On poluje! Wolne żarty!

Toczył się po schodach na dół, obmacując swój dwudniowy zarost. Warkot ustał. Niech się dzieje, co chce, wyjrzy, bo jest ciekawy. Przynajmniej będzie jakaś odmiana.

Zerknął przez kuchenne okno. Serce skoczyło mu do gardła, kolana ugięły się, jakby miał upaść. Faith. Faith! Wyglądała tak radośnie w jasnobłękitnych szortach i dobranej odzieniem bluzce, która odsłaniała jej smukłą talię. Po tym, dlaczego i jak stąd odjechała, nie spodziewał się jej więcej zobaczyć.

Nagle ogarnął go gniew. Jak ona śmie mu to robić? Ile jeszcze razy ma się z nią żegnać, zanim zgłupieje do reszty?

Z tym gniewem jak obronną tarczą wyszedł na werandę i patrzył, jak się zbliżała. Miała ze sobą torbę z rzeczami. Zamierzała zostać. Cóż, musi wybić jej to z głowy.

Jego gniew osłabł jednak, gdy zobaczył wyraz jej twarzy. Zauważył jedynie twarde zdecydowanie, ani odrobiny smutku. Jej błękitne oczy były czyste i spokojne jak letnie niebo.

Wyprostował ramiona i spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem, jakby chciał ją odstraszyć, ale ona, jak zwykle, nic sobie z tego nie robiła.

- Tak mi wstyd - powiedziała. - Nie wiem, czy będziesz mógł mi kiedykolwiek wybaczyć i znów zaufać, ale mam nadzieję, że przynajmniej spróbujesz.

To go kompletnie zaskoczyło.

- O co ci chodzi?

- Uciekłam od ciebie.

- To ja cię odprawiłem. I teraz zrobię to znowu.

- Nie zrobisz. Nie pozwolę ci. Przyjechałam tu, żeby zostać, Jones, czy ci się to podoba, czy nie.

Stał na najwyższym stopniu schodów, zagradzając jej drogę.

- Nie podoba mi się. A teraz masz zrobić w tył zwrot, zapakować twój zgrabny kuperek do łódki i wracać tam, skąd przyjechałaś.

Odniosł wrażenie, że jej dolna warga zaczęła lekko drżeć i to pozbawiło go dotychczasowej determinacji. Widać nie miał jej tyle, na ile liczył.

Faith wspięła się po schodach i spojrzała mu prosto w twarz.

- Nie będziemy tu stali przez cały dzień. Możemy wpuścić do środka?

Zawahał się. Nie potrafiłby usunąć jej siła. Zdobył się tylko na jedno słowo:



- Dlaczego?

- Jeśli się kogoś kocha, to się przy nim jest, niezależnie od sytuacji. Nie o to chodzi, żeby się użalać nad nim czy nad sobą. Trzeba po prostu być razem. Zamierzam być tu z tobą. Kocham cię, Jones.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jedynym potwierdzeniem tego, że Jones słyszał jej namiętną deklarację, był błysk niepewności w jego oczach.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Możesz sobie udawać twardego faceta, który w samotności i bez strachu stawia czoło śmierci, ale mnie nie oszukasz. Boisz się śmierci jak każdy normalny człowiek i wcale nie chcesz być sam.

Jones jakby nieco złagodniał.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony, Faith, ale...

- Nie zwracaj mi głowy szlachetnością! Sama tego chcę, wyobraź sobie. I to zupełnie świadomie. Wiesz, przez co niedawno przeszłam. Jestem silniejsza i lepsza właśnie dzięki temu, że byłam przy ojcu, kiedy umierał. Z czymkolwiek miałabym się zmierzyć przy twoim boku, znajdę na to dość sił.

Jakiś miesiąc drgał mu na twarzy. Patrzył na niebo, na własne stopy, wszędzie, tylko nie na nią.

- Czy naprawdę to przemyślałaś? - zapytał w końcu. - Kiedy zrobi się bardzo ile, nie każę ci odejść. Nie licz na to. Ubiegły tydzień bez ciebie był dla mnie piekłem. Drugi raz mogę się na to nie zdobyć.

- Nie chcę, żebyś mnie odsyłał.

Spojrzał na nią jakby nowymi oczami. Zmieniła się, dojrzała wewnątrz przez ten ostatni czas. Skinął głową na znak zgody i usunął się na bok, żeby mogła przejść. Nie dotknął jej.

Jest inaczej, tłumaczyła sobie Faith, walcząc z poczuciem rozczarowania. Obecna relacja między nimi musi zacząć się w innym miejscu, niż tam gdzie się kiedyś skończyła. O co innego w niej chodzi. To już nie bajka, tylko twarda rzeczywistość, wymagająca wielu wyrzeczeń. Trzeba się będzie przyzwyczaić.

Wnętrze chaty przyprawiło ją o wstrząs. Sądziła dotąd, że Jones nieźle sobie radzi jako gospodarz. Pajęczyna w kącie to wszystko, co można mu było zarzucić. Teraz miała wrażenie, jakby eksplodowała tu ciężarówka z piwem.

- Mówiłem ci, że ten tydzień był dla mnie piekielnie trudny - wyjaśnił ponuro.

- To widać - uśmiechnęła się. Nieporządek nie martwił jej aż tak, jak te stosy pustych puszek po piwie, walające się po podłodze. Alkoholem chciał zagłuszyć ból?

- Czy ostatnio bardziej bolało? - zapytała obojętnym tonem, przyglądając mu się uważnie.

Skinął głową i uśmiechnął się niespodziewanie.

- Nie w głowie. Tu. - Pokazał na pierś.

Nie mogła się zdobyć na żadną odpowiedź. Poczowała tylko, jak coś twardego dławi ją w gardle.

- Tak bardzo cierpiałem, kiedy cię nie było, Faith. Naprawdę wierzyłem w to, że już nigdy cię nie zobaczę.

- Więc cieszysz się, że tu jestem? - Bała się prawie odechnąć, czekając na jego odpowiedź.

Zawahał się na mgnienie oka, po czym wyszeptał:

- Tak.

Nie mogła już dłużej znieść tego dystansu. Podeszła i zarzuciła mu ramiona na szyję, przyciskając twarz do twardych mięśni jego piersi, rozkoszując się zmysłowym zapachem jego skóry.

Wydawało się, że z wahaniem odpowiedział na jej uścisk, lekko pocierając rękami jej plecy.

- Jesteś pewna, że chcesz być tak blisko mnie? Muszę natychmiast wykapać się i ogolić.

- To prawda - roześmiała się Faith.

- Czy jadłaś lunch?

- Masz kota na punkcie jedzenia, mój drogi!

- Widzisz, nie przypominam sobie, kiedy sam ostatnio jadłem. Nagle poczułem, że chce mi się jeść. Nie jestem pewien, która potrzeba w świetle nauki jest silniejsza, głód czy seks. - Objął ręką jej pośladki, przyciągając ją do siebie.

Ciało Faith wypełniła ulga zmieszana z rosnącym pożądaniem. Pierwsza część batalii była wygrana. Miała tu zostać, odbudować ich wzajemne porozumienie do czasu, kiedy trzeba będzie zacząć część drugą...

- Tak się dobrze składa, że przywiozłam trochę zakupów. Są w Łódce. Przygotuję lunch, a ty pójdziesz pod prysznic. Na razie rzeczywiście nie nadajesz się do użycia. - Starła się go nie urazić; był dla niej jedyny na świecie, ale wyglądał jak dno zostawionej na bagnach łodzi.

Jones uśmiechnął się przekornie.

- Zgoda. Może jednak przyrządź coś, co może stać. Nadal nie jestem pewien, która biologiczna potrzeba okaże się silniejsza.

Lunch rzeczywiście czekał dość długo. Kiedy Jones wyszedł spod prysznica, czysty, ogolony i znacznie bardziej podobny do człowieka, jedzenie całkiem wywietrzało mu z głowy. Zanim Faith zdołała zaprotestować, porwał ją na ręce i zaniósł do sypialni, gdzie potem płynęły niepostrzeżenie godzina za godziną. Wreszcie oboje nasycili się do tego stopnia, że ledwie mogli się ruszać.

Chwiejnymi krokami dotarli jakoś do jadalni, gdzie Faith pozostawiła gotowe kanapki z wołowiną. Rzucili się na nie jak tygrysy na świeże mięso.

Jones, jedząc najwspanialszy posiłek w swoim życiu, bił się z myślami, dlaczego aż tak zmienił zdanie na temat obecności Faith. Tłumaczył sobie, że to ona zmieniła swoje nastawienie do jego przypadku. Uwierzył, że może być dla niego źródłem siły.

Faith wypić do dna szklanę mleka, po czym oparła się z widoczną przyjemnością o tył krzesła.

- Posłuchaj, Jones, nie zastanawiałeś się kiedyś nad tym, że, jak na śmiertelnie chorego, trochę za dobrze wyglądasz?

Poczuł, jakby tym pytaniem przekłuła nadmuchany balon jego nadziei. To ma być miłość nie stawiająca warunków? Ona cały czas liczy na to, że jednak... Mimo to odpowie na pytanie. Nie był już zdolny niczego przed nią ukryć.

- Wygląd może być mylący.

Faith skinęła głową, na razie nie oponując.

- No dobrze, to powiedz mi o tym guzie. Duży jest?

- Ten, który mi usunęli, był jak migdał.

- A ten obecny, jaki był, kiedy go wykryli?

- No... formalnie jeszcze go nie wykryto.

- Co? - To jedno słowo zabrzmiało jak wystrzał.

- Miałem takie same objawy jak wcześniej - bóle głowy, zamroczenie, zmiany nastroju. Nie potrzebowałem lekarza, żeby mi potwierdzał to, co i tak wiedziałem.

- Zatem przyjąłeś, że masz znowu guza mózgu i umierasz?

- Wiem, że go mam. Lekarze uprzedzali, że w ciągu roku może być nawrót. A to, że umieram, to nie założenie. To pewnik.

Już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zmieniła zdanie.

- Kiedy przybyłeś na te bagna?

- W końcu sierpnia.

- Więc upłynęło... - liczyła na palcach - osiem, prawie dziewięć miesięcy?

To go zaskoczyło. Kalendarz go nie obchodził, nawet nie był pewien, jaki miesiąc jest teraz.

- Skoro tak mówisz...

- I w ciągu tego czasu twój stan jakoś się pogorszył?

Musiał nad tym pomyśleć.

- No... dalej miewam bóle głowy.

- A kiedy to się zdarzyło ostatni raz?

- Dziś rano - odpowiedział automatycznie, w jakimś odruchu obrony. Do czego ona zmierza?

- Pytałam cię, kiedy miałeś inny ból głowy, nie z powodu kaca.

- Och... - Niech to diabli, nie pamiętał.

- Ja pamiętam - pomogła mu. - Tego ranka po burzy.

- Prawda. To był ostatni raz. Wiesz, nieźle się nadajesz do prowadzenia śledztwa.

- Trzymajmy się tematu. Czy nie przyszło ci do głowy, że masz najwolniej rosnący guz mózgu w historii medycyny? Według statystyk już dawno powinienesz umrzeć.

- Uczciwie mówiąc, mało się nad tym zastanawiałem. A co do statystyk... każdy przypadek może być inny.

- Właśnie. Lekarza, który postawił tak ponurą diagnozę, powiesiłabym na suchej gałęzi. Nieźle namacił, prawda?

- Faith, do czego ty zmierzasz?

- To chyba jasne?! - Zmięta papierową serwetkę i rzuciła w niego. - Tyle osób doprowadziłeś do rozpaczki, nawet nie będąc pewnym, czy naprawdę umrzesz. - Poderwała się w stronę stołu, wywracając krzesło, i uciekła z kuchni.

- No, no, poczekaj. - Jones zerwał się też na równe nogi.

- Przecież ja naprawdę umieram!

Pobiegł za nią do drzwi, które próbowała mu zatrzasnąć przed nosem, potem na ganek otaczający dom. Myślał, że zamierza schronić się na łódce, ale zatrzymała się przy poręczy werandy, ściskając ją tak mocno, aż zbieleły jej palce.

Oddychała głośno i gwałtownie. Jeszcze nie płakała, ale łzy wisiły już na rzesach.

Skoro on nie miał umrzeć, to czemu ona płacze, zastanawiał się.

- Wiesz, co chciałam zrobić? - rzuciła mu pytanie. - Chciałam namówić cię na następne leczenie. Pragnęłam przekonać cię, iż lekarze mogli się pomylić, że masz szansę na życie, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Potem znowu terapia...

- To by nic nie dało.

- A teraz dowiaduję się, że ty nawet nie masz tego cholernego guza! - krzyknęła, ignorując jego komentarz.

- Faith, on tam jest. Te bóle głowy są tak szczególne... Czy naprawdę myślisz, że ten guz zniknął sam z siebie?

- Onkolodzy znają dziwniejsze przypadki. Spontaniczna remisja. Fachowa literatura opisuje wiele przykładów.

- Nie wierzę w cuda - stwierdził beznamiętnie.

- No dobrze, ale piłeś zioła Miss Hildy.

- I co z tego?

- Ona podała mi skład. Sprawdziłam, po prostu z ciekawości. Dwa składniki są aktualnie testowane jako leki przeciwnowotworowe.

- Żartujesz chyba. - Owszem, podejrzewał, że Miss Hildy domyśliła się prawdy jakiś czas temu; przypuszczał też, że ta herbata to jakieś ludowe lekarstwo, ale nie liczył na żadną naukową podbudowę. - Naprawdę wierzysz, że ona mogła mnie wyleczyć?

- Sam mówiłeś, że piłeś to litrami. Czasami nasz organizm wie najlepiej, czego mu potrzeba. Uczciwie mówiąc, nie bardzo wierzę, że wyleczyła cię ta herbata, ani że zdarzył się cud. Moim zdaniem w ogóle nie było nawrotu.

- Faith, gdybym go nie miał, czy opuściłbym pracę, rodzinę, narzeczoną, zmieniłbym nazwisko?

- Owszem. Może właśnie chciałeś zrobić to wszystko. potrzebowaleś tylko wytłumaczenia.

Zapadło milczenie. Jones już otworzył usta, żeby ubrać w słowa swoje oburzenie. Raz i drugi nie mógł nawet zacząć. W końcu wyjąkał:

- Więc wymyśliłem sobie raka? To obłąd!

- Może nie aż taki - powiedziała w zamyśleniu. Kiedy dwa lata temu zaczęły się te bóle głowy, co myślałeś, zanim poszedłeś do lekarza?

- W co ty się bawisz, w dwadzieścia pytań?

- Odpowiedz, proszę. To ważne.

Zawahał się, w końcu postanowił kontynuować tę grę tylko po to, żeby jej wykazać, że nie ma racji.

- No dobrze - mruknął. - Miałem wtedy urwanie głowy w pracy, bankrutował bank kredytowy, czekał mnie proces, tony papierów do przejrzania... Poza tym wszyscy popychali mnie do tego ślubu, chodziło o termin.

- Kto: wszyscy?

- Mary Lynn, jej rodzice, moi rodzice... - Czasami miałem wrażenie, że całe miasto. - Myślałem, że powodem tych bólów głowy był tylko stres.

- A zamiast tego doktor stwierdził nowotwór.

Jones skinął głową.

- Wtedy rzuciłeś pracę, a ślub mogłeś odłożyć już na zawsze. Pewnie odczułeś ulgę.

- W tamtym okresie nie czułem żadnej ulgi.

Faith spojrzała mu prosto w twarz. W jej oczach odbijał się ból jego wspomnień. Nie ustępowała jednak.

- No dobrze, pomyśl nad tym, co było osiem miesięcy temu. Co robiłeś w czasie, kiedy wróciły bóle głowy?

- No, pracowałem znowu pełną parą, nowy przypadek bankrutującej korporacji... - Nawet teraz aż się wzdrygnął kiedy to sobie przypominał.



- I...

- I Mary Lynn znowu robiła plany weselne.

- I znowu siedziałeś w tym po uszy. Podświadomie chciałeś uciec, ale nie wiedziałeś, jak. W jaki sposób zerwać zaręczyny, zachowując twarz...

- Więc uważasz, że moja podświadomość wyczarowała raka mózgu?

- Nie, wywołała bóle głowy.

- Uważasz, że ten nawrót nigdy nie istniał?

- To całkiem możliwe, prawda? - powiedziała, już bez złości. - Przecież bóle głowy mogą mieć najprzedsawniejsze przyczyny.

- W ogóle nie brałem tego pod uwagę.

- To oczywiście tylko teoria. Ale warto ją sprawdzić, jak sądzisz?

Więc o to chodzi, myślał Jones. Faith chce go zaciągnąć do szpitala, niby tylko na badania, a potem będzie go przekonywała do kolejnej terapii.

- Nie, nic z tego - odparł, instynktownie odsuwając się od niej.

Faith przyjrzała mu się uważnie.

- Można by pomyśleć, że to przeświadczenie o niechybnej śmierci całkiem ci odpowiada?

- O czym ty w ogóle mówisz? Jak mógłbym...

- Albo przynajmniej podoba ci się, że nie musisz pracować i mieć żadnych zobowiązań. Może zwyczajnie boisz się potwierdzenia, że nie jesteś chory, bo wtedy musiałbyś wrócić do domu, do tamtego życia, znowu odpowiadać za to i owo.

- Całkiem zwariowałaś. Dlaczego miałbym woleć umrzeć niż wrócić do normalnego życia z tobą?

Faith uniosła brwi; nie odpowiedziała.

- Chciałem powiedzieć, że tylko z tobą mój powrót do

życia miałby sens, wiesz? - Dotknął dłonią aksamitnej skóry jej policzka.

Oczy Faith złagodniały nieco, ale odpowiedziała nowym pytaniem.

- Czyli przedtem życie nie miało dla ciebie wartości?

No, nieźle by sobie radziła na sali rozpraw, pomyślał. To fakt, że czuł się szczęśliwszy, siedząc samotnie na bagnach, niż kiedyś jako obiecujący, zapracowany prawnik, zaręczony z piękną kobietą z bardzo dobrej rodziny.

Może jednak Faith ma rację? Może na najgłębszych poziomach podświadomości choroba jawiła się jako jedyna ucieczka od życia, które go męczyło?

Dlaczego jednak sam go nie zmienił? Czyżby był zbyt słaby, tak pozbawiony woli, żeby się na to zdobyć?

Tak. Taka była prawda. Próbował wyobrazić sobie, że idzie oto do swego przełożonego, człowieka, który dał mu wielką życiową szansę, i mówi, że nie chce już dla niego pracować. Że zamierza otworzyć własne, małe biuro i zajmować się testamentami, oprostowywaniem mandatów drogowych i podobnymi głupstwami.

A zerwanie zaręczyn? Dla rodziny Mary Lynn byłyby to policzki, a dla obu dynastii, bliskich sobie od wielu pokoleń, nieunikniony rozłam.

- Powiedz mi więc - zapytał, krzyżując ramiona na nagiej piersi - dlaczego po przybyciu tutaj nadal bolała mnie głowa?

- Może ta perspektywa śmierci, którą sobie stworzyłeś, w dalszym ciągu powodowała stres. Nie jestem wszechwiedząca. Sądzę jednak, że im dłużej tu byłeś, im bardziej cieszyłeś się swobodnym życiem, tym bardziej o tym zapomniałeś i bóle głowy pojawiały się rzadziej.

- Wygląda na to, że masz odpowiedź na wszystko. - Czuł, że musi gdzieś uciec, dać sobie trochę czasu. - Jadę teraz na ryby. Sam.

Faith aż się wzdrygnęła, jakby zadał jej cios. Natychmiast pożałował ostatniego słowa. Gdyby ujął to jakoś inaczej... Spojrzał na nią znowu.

Ta kobieta była jednak zdumiewająca. Przed chwilą usta drgały jej, jakby była o włos od płaczu, teraz jednak zdobyła się na uśmiech.

- Dobrze, jedź - powiedziała. - Ale przemyśl, co ci powiedziałam. Co ci szkodzi zrobić tych parę badań? Stawką jest twoja przyszłość, mimo wszystko.

- Dobrze, a co będzie, jeśli testy okażą się dodatnie? Jeśli guz tam jest? Zanim się zorientuję, wepchniesz mnie do sali operacyjnej...

- Jeśli testy będą dodatnie - powiedziała wolno - wrócimy tutaj oboje i przeżyjesz pozostający ci kawałek życia dokładnie tak, jak będziesz sobie życzył. Nie powiem ani słowa na temat ponownej terapii.

Wierzył jej. To dziwne, ale wierzył, że dotrzyma danego słowa.

- Muszę nad tym pomyśleć. - Odwrócił się i poszedł wyprowadzić łódź.

Faith patrzyła za nim, wiedząc, że zagrała swą naprawdę ostatnią kartą. Jeśli Jones nie pojedzie z nią na badania, już nigdy się stąd nie ruszy. Umierający czy nie, będzie stracony dla zewnętrznego świata. Zamknie się w sobie tak samo jak Hildy, nieodwracalnie. Nie będzie już umiał żyć pośród ludzi.

Jak bardzo chciała wierzyć, że był naprawdę tak zdrowy, jak na to wyglądał. Gdyby się okazało, że ten guz istnieje, niepotrzebnie obudziłaby jego nadzieje. Co gorsza, przegrałaby już sprawę ponownego leczenia. Ale jakoś *to* będzie, poradzę sobie, myślała. Jakakolwiek diagnoza, dobra czy zła, jest lepsza niż to zawieszenie.

Nie było go dość długo. Faith wysprzątała chatę, przynajmniej z grubsza, potem zajęła się sobą. Najpierw pucowanie

się pod prysznicem, nowa bielizna w czarnym kolorze. Na to świeżutkie džinsy i bluzka z dzianiny w lawendowym kolorze. Zostanie z nim, cokolwiek by postanowił.

Było już prawie ciemno, kiedy usłyszała warkot motorówki. Wszystko we właściwym czasie, pomyślała, wyjmując z piecyka ostro przyprawioną zapiekankę z serem. Jones wszedł do kuchni, obejmując wzrokiem pięknie nakryty stół. Podeszedł do zlewu, żeby umyć ręce.

- No i jak, brały? - zapytała, opanowując chęć objęcia jego szczupłego ciała. Chciałaby mu powiedzieć, jak wiele dla niej znaczy, jak bardzo pragnęłaby, żeby żył.

- Nie bardzo - odpowiedział. Odwrócił się w jej kierunku, patrząc tak, jakby teraz dopiero ujrzął ją po raz pierwszy.

- Ładnie wyglądasz. Mmm, i ten obiad wspaniale pachnie.

- Rozejrzył się po kuchni, po czym rzucił okiem przez hol do pokoju. - Wysprzątałaś tu. Przecież nie musiałaś.

- Miałam się czym zająć przez te parę godzin.

Spuścił oczy.

- Nie zamierzałem zostawiać cię na aż tak długo. A przed wyjazdem mogłem tak na ciebie nie fukać. Wiem, że chciałaś mi pomóc.

- W porządku. Siadaj do stołu, zapiekanka nam stygnie.

Nalała dwie szklanki mrożonej herbaty. Podniosła oczy i napotkała jego wzrok. Miał bardzo szczególny wyraz.

- Dziękuję - powiedział. - To naprawdę bardzo miłe. I jestem ci wdzięczny za to, że dałaś mi prawo do samotności. Przy tobie nie mógłbym spokojnie pomyśleć.

- Nie chcę cię w żaden sposób ograniczać.

- Wiem. Ale możesz rozpraszać... Co masz pod tą śliczną bluzeczką?

- Przyjdzie czas, to zobaczysz - odparła z obiecującym uśmiechem, ukrywając rozczarowanie. Celowo zmienił temat. Pewnie nie chce się zgodzić na badania.

Spojrzał na nią w ten sposób, że prognozy co do obiadu były oczywiste. Znów będą jedli odgrzewany, może koło północy. Obszedł stół wokoło, objął dłońmi jej ramiona i pocałował. Jego usta były ciepłe i mocne; na długą chwilę zapomniała o wszystkim poza rosnącym podnieceniem, od którego serce biło szalonym rytmem.

Była uzależniona od tego człowieka. Nieuleczalnie. Jak mogłaby bez niego żyć?

Obejmował ją mocno, chowając głowę w jej włosach.

- Zgadzasz się na twoją propozycję - powiedział. - Pojadę do szpitala, zrobię te badania, ale pod dwoma warunkami.

- Jakimi? - Faith bała się prawie odetchnąć.

- Po pierwsze, pojedziesz tam ze mną.

- Oczywiście!

- A po drugie... pozwolisz mi sprawdzić, co masz pod tą bluzką. - Jego dłoń wędrowała pod obrąbkiem dekoltu, pieścąc jedwabistą skórę pomiędzy piersiami.

- Czarny?

Uczucie szczęścia i gwałtowna, fizyczna odpowiedź jej ciała stłumiły wszelkie słowa. Nagle jednak w skłębione myśli wtargnęła nowa obawa. A jeśli nie miała racji? Co będzie, jeśli nadzieja rozwieje się na zawsze? Czy niepewność nie jest lepsza?

- Faith?

- Tak, jest czarny - wyszeptała, uciekając w jego ramiona jak do oazy, gdzie myśli ulatniają się jak dym, gdzie nie istnieje przyszłość. Tu i teraz... Tego można się nauczyć.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Dlaczego w szpitalnych poczekalniach zawsze jest tak zimno? - pytała Faith, zacierając zziębnięte ręce; potem podniosła je, żeby umocować wypadającą spinkę w ciasno upiętym koku.

- Chodzi o to, żeby człowieka zdenerwować. Przeważnie skutkuje. - Ujął jej szczupłą dłoń w swoje ręce. Była lodowata. - Faith, czy możesz przestać się trząść? Co ja mam zrobić...

- To przez czekanie i nerwy, nie z zimna. Już na ten termin czekaliśmy trzy tygodnie, a dziś oprócz tego, co przed badaniami, kolejne dwie godziny. Ciagle nie wiadomo, kiedy to się skończy...

- Mówiłem ci, że zajmie nam to cały dzień. Coś wiem na ten temat - odparł. Ileż to godzin spędził kiedyś w poczekalniach.

- Przepraszam cię, ja się po prostu...

- Denerwuję - dokończył, obejmując ją i rozcierając dłonią zziębnięte ramię. - Wyobraź sobie, że siedzisz w łódce, jest trzydzieści stopni w cieniu i oddałabyś wszystko za szklanekę czegoś zimnego.

- Wolałabym tam być.

Jones też wolałby być gdziekolwiek, tylko nie tu. Przyrzekł Faith zrobić te badania, ale dalej uważał je za stratę czasu. Dziś rano znowu bolała go głowa; ogłuszający, oślepiający ból. Niewielki stres nie mógłby spowodować czegoś takiego.

Połknął cztery aspiryny i próbował funkcjonować normalnie. Na szczęście Faith była pochłonięta bez reszty ich podróżą do Dallas.

- Wiesz, Faith, tak sobie myślę...

- No, o czym?

- O tej twojej teorii, że chciałem podświadomie uciec od moich zobowiązań. Dalej trudno mi uwierzyć, że to samo w sobie mogło wywołać chorobę, ale prawdą jest, że użyłem mojej choroby jako wytłumaczenia ucieczki. Nie mogę zaprzeczyć, że zerwanie z pracą i Mary Lynn z tak usprawiedliwionej, nawet heroicznej przyczyny, sprawiło mi pewną ulgę. Teraz jednak zdecydowałem, cokolwiek by się okazało, że wracam do domu.

Oczy Faith zrobiły się okrągłe jak spodki. To była ostatnia rzecz, którą spodziewała się od niego usłyszeć.

- Uciekając myślałem, że ułatwiam życie mamie, tacie i Mary Lynn - mówił. - To był wykręt na własny użytek, bo zrobiłem to przede wszystkim dla siebie.

- W jaki sposób?

- Zdecydowałem, że nie poddam się następnej serii terapii. Wiedziałem, że wszyscy zaczną mnie przekonywać i namawiać. Nie czułem się na siłach bronić swojego zdania. Myśl o kolejnej operacji i tych torturach potem przerażała mnie bardziej niż śmierć, więc uciekłem.

- A teraz? Czyżbyś czuł się na siłach postawić na swoim?

- Będę musiał. Nie zmieniłem zdania na temat terapii, ale nie mogę znowu uciec. To nieuczciwe wobec ludzi, których się kocha, kazać im żyć w niepewności. Jestem im też winien wątpliwy może honor bycia wraz ze mną do końca, jeżeli tego zechcą... O ile przedtem nie wyrzucą mnie na bruk za to, że zachowałem się jak ostatnie prosię - dodał ciszej.

- Myślę, że zrozumieją - powiedziała Faith.

Do poczekalni weszła pielęgniarka z plikiem papierów na sztywnej podkładce.

- Pan Jones? Lawrence Jones?

Jones skurczył się w sobie, jak zawsze, kiedy słyszał swoje pełne nazwisko.

- To ja. - Wstał, obejrzał się na Faith, która posłała mu krzepiący i pełen zachęty uśmiech.

- Kocham cię, Faith - wyszeptał. - Bardzo cię kocham.

- Potem odwrócił się i pomaszerował ku swemu przeznaczeniu.

Faith patrzyła jeszcze, jak zniknął w drzwiach korytarza. Potem rzuciła się do damskiej toalety, zamknęła w kabinie i zaczęła szlochać jak dziecko.

Kochał ją. Naprawdę ją kochał. Dokonała przełomu w jego życiu. Nawet jeśli się myliła, nawet jeśli on ma umrzeć, powróci do rodziny, odbuduje spalone mosty, pożegna się z tym światem bez poczucia winy.

Otarła łzy, poprawiła makijaż, żeby Jones nie mógł się nawet domyślić, że płakała. Wróciła do poczekalni i czekała z pochyloną głową, modląc się tak, jak nie modliła się nigdy w życiu.

Minuty wlokły się jak całe dni. Ludzie wchodzili i wychodzili. Jakaś starsza kobieta położyła jej dłoń na ramieniu w milczącym geście współczucia.

Gdy wreszcie Faith podniosła głowę, Jones stał przy okienku rejestracji, płacąc rachunek. Wciągnęła gwałtownie powietrze i poderwała się z krzesła. Jones obrócił się, chowając do kieszeni portfel. Jego twarz nie wyrażała niczego.

- Gotowa? - zapytał zwyczajnym tonem, podając jej rękę.

- Czy nie powiesz mi nawet jednego słówka?

Skinął głową w kierunku drzwi.

- Na zewnątrz. Tu jest szpital i nie wolno robić scen.

- Naprawdę myślisz, że zrobię scenę? - nalegała.



- Nie ty, ja. - Nie powiedział nic więcej, dopóki nie znaleźli się sami w windzie. Pokazał zęby w uśmiechu.

Nogi ugięły się pod nią z bezmiernej ulgi.

- Paskudo niepocziwa! Tyle męczami, a ty jesteś tak samo umierający, jak na przykład ja, no nie?

- Co ci mogę powiedzieć? - Jones miał niewyraźną minę.

- Miałaś rację, a ja czuję się jak idiota. Nie mam żadnego guza, ani śladu. Wszystkie wyniki w normie.

Faith wzniosła oczy do nieba, po czym rzuciła mu się w ramiona i obsypała gradem pocałunków. W tej chwili winda otworzyła się na parterze, ukazując tę scenę grupie pielęgniarek-ochotniczek w różowych uniformach. Zaskoczona publiczność spoglądała na czułą parę okragłymi ze zdziwienia oczami.

Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, Jones wydał z siebie ogłuszający okrzyk Tarzana i razem z Faith rzucili się na zalany słońcem trawnik, gdzie całowali się znowu, tym razem bardziej namiętnie. Faith z rozkoszą wchłaniała w siebie jego promieniejącą witalność, wiedząc, jak dobrze zrobiła, przy prowadzając go tutaj.

Jones ujął w dłonie jej twarz i patrzył w oczy tak długo, że zaczęła topnieć jak wosk.

- Teraz wezmę cię do domu i będziemy się kochali - powiedział.

- Do domu? Dokąd? Do Holland?

Przez jego twarz przemknął cień, jakby słońce na chwilę zniknęło za chmurą.

- To jutro. Z rodzicami spotkam się jutro. Dziś chcę świętować z tobą. Dobrze?

- No pewnie - zgodziła się z szelmowskim uśmiechem.

- Moje mieszkanie jest tylko o dwadzieścia minut stąd.

Miała sporo szczęścia; że udało jej się dojechać do domu bez wypadku. Jones łaskotał ją wargami po szyi na czerwono.

nym świetle, wyciągał spinki z włosów, wodził pieszczotliwie palcem po ramieniu, aż dostawała gęziej skórki mimo panującego upału. Nigdy nie widziała go w tak radosnym nastroju; czuła, że ich związek może nabrać teraz całkiem nowych barw.

Zatrzymała samochód przy krawężniku przed furką piętrowego bliźniaka osłoniętego wysokimi drzewami i dziko rosnącymi krzewami.

- To tu. Mieszkam na górze. Między tamtym wypadkiem a pisaniem pracy nie miałam czasu na zajmowanie się ogrodem. Sąsiedzi ścinają czasem trawę i tyle.

Jones nie był wcale zainteresowany ogrodem. Stał przed wejściowymi drzwiami, stukając niecierpliwie butem o podest, a Faith szukała klucza. Gdy weszli, gorące powietrze buchnęło im w twarze jak z sauny. Mieszkanie przez tyle czasu było zamknięte. Faith włączyła klimatyzację, podniosła rolety i otworzyła szklane drzwi na balkon, otoczony prętami z kutego żelaza. Sięgający prawie barierki, dziko rozrośnięty krzak ligustru zasłaniał widok na ogród. Faith stanęła na chwilę w strumieniu świeżego powietrza, biorąc głęboki oddech.

Nie zdawała sobie sprawy, że Jones jest tuż za nią, dopóki nie poczuła bliskości jego ciała, jego rąk we włosach, wyciągających ostatnie spinki z rozsypującego się koka.

- Nigdy nie widziałem cię w tej fryzurze. Dlaczego się tak uczesałaś? - zapytał, rozdzielając palcami gęste złote pasma.

- Czeszę się tak, kiedy chcę wyglądać na prawdziwego naukowca albo czuć, że panuję nad sobą.

- Ale teraz nie musisz, prawda? - Odsunął jasną gęstwinę z jej szyi i pocałował w kark. - I wiesz co... - mrucał - najbardziej lubię, kiedy zupełnie nad sobą nie panujesz. - Objął dłońmi jej smukłą talię, a potem przesuwał je powoli w górę, aż zamknęły się na piersiach.

Ciało Faith ogarnął żar, nogi ugięły się pod nią. Złapała poręcz balkonu, żeby nie upaść.

- Hmm, myślę, że jeśli w środku ochłodzi się choć trochę... - mruzczał Jones, zataczając dłońmi powolne kręgi, aż jej sutki naprężyły się pod stanikiem.

- Nie chcę czekać tak długo.

W kącie balkonu stał ciężki szezlong z sekwojowego drzewa. Jones ułożył na nim Faith, przewracając płócienne pokrycie na czystszej stronie.

- Tutaj? - pisała Faith. - Przecież nas zaaresztują za...

- Jeśli tylko podglądacz nie zaczął się za tym krzakiem, nikt nie ma prawa nas zobaczyć. - Jones już wyciągał skraj jej jedwabnej bluzeczki zza paska lnianych szortów. Faith wykręciła głowę do tyłu, żeby się przekonać, czy to prawda. Chyba tak - bujna roślinność zasłaniała prawie wszystko. Niemniej jednak pomysł był tak niecny i gorszący, że poczuła dreszcz zakazanej emocji.

Ależ ten Jones był niecierpliwy!

Odsunęła jego ręce i sama zdjęła bluzkę przez głowę, odsłaniając prosty biały stanik. Wybierając dziś rano bieliznę nie przypuszczała, że będzie robić striptiz na własnym balkonie dla jednoosobowej publiczności.

- Poczekaj chwilę - powiedziała, kiedy Jones wyciągnął rękę w jej stronę. Cofnęła się, zrzuciła szorty i wyszła z nich, zostając w białych, bardzo przyzwoitych majteczkach. Zawahała się chwilę, po czym zdjęła je, odpięła stanik i rzuciła wszystko przez balkon.

Jones patrzył na nią z otwartymi ustami.

- Faith!

- O co chodzi? Chciałeś się kochać w ubraniu? - zapytała niewinnie i zlikwidowała dzielący ich dystans. Zamiast jednak zarzucić mu ramiona na szyję, zajęła się guzikami jego koszuli.

- To przecież był twój pomysł, żeby sycić żądze na świeżym powietrzu - przypomniała.

- Tak, ale nie myślałem, że się zgodzisz. - Otoczył ją ramionami, a potem pożądlivym gestem ścisnął jej pośladki.

- Lepiej się pospiesz z tymi guzikami, moja mała.

- Pospieszyć się? - Zaśmiała się gardłowym śmiechem.

- Po co? Mamy mnóstwo czasu.

Zaskoczyła go ta inna, zuchwale zmysłowa Faith. Owszem, znał jej upodobanie do seksownej bielizny, ale nigdy nie była szczególnie śmiała. Z zapałem i wrażliwością reagowała na jego inicjatywy, ale dotąd on prowadził. Dziś Faith zamieniła role i to okazało się niezwykle podniecające. Już przedtem był dość podniecony. Teraz był już twardy jak stal i bliski eksplozji.

Zręcznymi palcami, które wzniecały żar, gdziekolwiek się znalazły, Faith szybko pozbawiła go ubrania. Był nagi jak ona. Letni wiatr muskał skórę, jakby podkreślając upajające poczucie wyzwolenia.

Dziś anulowano jego wyrok śmierci i to miało swoje znaczenie, choć najwięcej w obecnym uniesieniu zawdzięczał tej niezwykłej kobiecie, która właśnie udowadniała, że jej język ma też niezwykłe właściwości. Raz za razem prowadziła go na krawędź szaleństwa, klęcząc przy nim, mocno pocierając go długimi, pięknymi palcami, leciutko drapiąc paznokciami, ściskając zębami. Kiedy nie mógł dłużej wytrzymać, posadził ją na swym brzuchu, ale jeszcze w nią nie wszedł. Stary szeszlong był nadspodziewanie wygodny; przez długi czas Jones cieszył się jedwabistym i ciepłym dotykiem jej kobiecości na swoim ciele, łaskotaniem delikatnych, złotych loczków, które ją otaczały.

Napawał się też widokiem dłuższych złotych loków na jej głowie, które spadały na boki jak wodospad, głąskały jego ramiona, kładły się na jego twarzy, kiedy pokrywał jej szyję seria namiętnych pocałunków.

Gniótł niecierpliwymi dłońmi jej piersi. Były obfite, ale sprężyste i twarde, mlecznobiałe na tle świeżej opalenizny. Przesunął językiem po tej granicy barw, potem złapał ustami jedną z napiętych sutek. Faith odrzuciła głowę w tył i jęknęła z rozkoszy.

- Jestem gotowa - szepnęła prawie bez tchu.

- Naprawdę? - Gładził jeszcze jej biodra i tylną powierzchnię ud.

- Nie drażnij mnie - zbeształa go żartobliwie. - Jestem kobietą zdesperowaną; zaraz i tak wezmę, czego będę chciała.

- To mi się podoba. - Wcisnął jej do ręki małą paczuszkę. Na szczęście pomyślał o tym wcześniej.

Drżącymi dłońmi ubrała go - tym razem w purpurę - i ten akt osłaniania był kolejną erotyczną pieśzczotą. Potem uniosła biodra i odziała go po raz drugi - w siebie - ogarniając jego męskość swym pulsującym z pragnienia wnętrzem. Jones zapamiętał się w cudownym odczuwaniu - każdy ruch pogłębiał oszołomienie tym snem na jawie: to była Faith, jej jaśniejąca twarz tuż nad nim, jej oczy w odcieniu najgłębszego błękitu, jej usta szepczące jakieś słowa, których nie rozumiał, bo zagłuszało je szalone tętno jego krwi. Każde pchnięcie wydawało się tym, które wyzwoli ostateczny spazm, ale ekstaza przedłużała się, ciśnienie zgniatające jego ciało rosło.

Moment uwolnienia był jak elektryczny wstrząs. Stracił kontakt ze światem i nie dbał o nic. Była z nim przecież Faith, anioł stróż, który go ukoi i ochroni, żeby spadając z powrotem na ziemię nie zrobił sobie nic złego.

Resztką świadomości pojmował, że płynie na nieważkiej chmurze, otoczony zapachem Faith. Nie wiedział, jak się stąd wraca do zwykłego świata, więc trzymał mocno panią swego serca i nie otwierał oczu.

Gdy nieco odzyskał przytomność, zawstydził się, że nie zwracał uwagi na Faith. Teraz leżała przy nim, ciasno przy-

tulona, mokra od potu, oddychając jak po długim biegu. Pozbył się wątpliwości: było jej dobrze, tak samo jak jemu.

- Hej, księżniczko, jesteś tutaj? - Pogładził lekko jej włosy.
- Mhm. Przynajmniej tak mi się zdaje.

Jones nie znał się na pięknych słówkach, ale chciał choć spróbować.

- Posłuchaj, jesteś najbardziej fascynującą i seksowną kobietą pod słońcem, najbardziej zniewalającą i szczodłą kochanką. Zwariowałem na twoim punkcie.

Uniosła głowę, wciąż jeszcze oszołomiona.

- To znaczy, że ci się podobało?

Klepnął ją pieszczotliwie poniżej pleców.

- Próbuję być całkiem poważny, Faith. Kocham cię. Kocham cię tak, jak nie kochałem dotąd nikogo na świecie. Kiedy dziś dowiedziałem się, że mam przed sobą kawałek życia, chcę je spędzić z tobą. Co o tym sądzisz?

Jej oczy zrobiły się podejrzanie wilgotne. Wytarła ręką twarz i odrzuciła włosy do tyłu.

- To najmiłsze słowa, jakie kiedykolwiek od ciebie usłyszałam. Teraz jednak powinnam pójść pod prysznic, zanim rozplynę się i wsiąknę w prześcieradło.

- Jeśli to cię uszczęśliwi - odpowiedział, całując ją w czubek nosa.

Gdy wyszła, zaczął się zastanawiać, co, na miłość boską, zrobił nie tak. Czemu nie odpowiedziała na jego pytanie? Przecież kochała go. Nawet jeśli nie wypowiedziała tego słowami, widział miłość w jej uśmiechu, w jej spojrzeniu. Mary Lynn nigdy nie patrzyła na niego w ten sposób.

Nie będzie jej popędzał. Powinni dać sobie oboje trochę czasu, żeby przywyknąć do nowej sytuacji. Za kilka tygodni, kiedy on ukształtuje jakoś swoje życie, i będzie mógł jej zaoferować coś bardziej zbliżonego do normalności, powrócą do tego tematu. Oboje zaplanują swoją przyszłość.

Wiedział, o czym sam marzył. Być z nią na zawsze, z dziećmi, w domu z ogrodem, wyjeżdżać na rodzinne wakacje do Ozarks. Stała się tak nieodłączną częścią jego życia, że bez niej nie umiał wyobrazić sobie żadnej przyszłości. On uratował jej życie, a ona malowała jego, wyciągając go z bagien, zanim stał się zgorzkniałym dziwakiem. Tacy ludzie powinni spędzić resztę swych dni razem.

Faith przycisnęła twarz do chłodnych kafelków; letnia woda płynęła na nią z góry, mieszając się ze łzami. Nie spodziewała się propozycji małżeństwa, nawet rozmowy o tym. Jego pytanie spowodowało taką panikę, że do tej chwili dusiło ją w gardle.

Udała, że nie traktuje tego poważnie, ale on mówił serio, tym razem na pewno.

Przecież chciałyby być jego żoną, z najwyższą radością urodziłyby jego dzieci, ale nawet nie mogła o tym myśleć. On nie chciał małżeństwa, bał się go instynktownie do tego stopnia, że ten strach o mały nie zniszczył mu życia.

Co wobec tego ich czeka, pytała samą siebie. Idylliczne trwanie nad Caddo Lake, gdzie zajmowali się spełnianiem własnych zachcianek, należało do przeszłości. Ona ma zająć się karierą naukową, a on zrekonstruować swoje życie i stosunki z rodziną.

Nie myślała o tym wcześniej. Chciała zaprowadzić go do doktora; jej spojrzenie w przyszłość nie sięgało poza ten cel.

Nagle nadchodzący czas pojawił się jako niewyraźna plama. Nie mogła poślubić Jonesa, ale też nie mogła, za nic nie mogła go stracić. Czy było jakieś inne wyjście?

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Faith patrzyła w zadziwieniu na wznoszącą się przed jej oczami rezydencję, oślepiająco białą w ostrym słońcu. Potężne kolumny, których nie powstydziliby się budynek rządowy, wspierały od frontu trzykondygnacyjny portyk. Jego marmurowa wspaniałość sprawiała wrażenie, jakby go wyjęto z kart „Przeminęło z wiatrem”. Podjazd wykładany czerwoną cegłą otaczał fontannę, której brązowe rzeźby przedstawiały naturalnej wielkości konie i mitologiczne trytony.

- Twoi rodzice to najbogatsi ludzie w tym mieście, prawda?

- Chyba tak - odpowiedział Jones, zajęty innymi myślami. - Choć może bogatsi są Hoffmanowie?

- Rodzina Mary Lynn? Powinnam była się domyślić. Jak wytłumaczysz ludziom moje towarzystwo, jeśli dotąd widywano cię z najlepszą partią w mieście? - Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Jones albo jego rodzice mogą być milionerami. Ludzie z tej sfery zwykli patrzeć z góry na takie zero bez grosza, jak ona. Otóż to... jeszcze jedna przyczyna, dla której nie powinna przyjmować jego impulsywnych oświadczeń.

- Nie muszę niczego tłumaczyć. Powiem, że jesteś moją bliską przyjaciółką. Przyjmą to zwyczajnie.

Państwo Jonesowie będą wiedzieli, co łączy ją i ich syna, myślała Faith. Rodzice mają ten szósty zmysł. Może nawet zaczną posądzać, że go namówiła do ucieczki. Nie wyjawiała na głos swoich wątpliwości. Jones miał inne zmartwienia. Od



czasu kiedy zbyła żartem tamtą propozycję, powstało między nimi wyczuwalne napięcie.

- Może powinniśmy byli wcześniej zatelefonować? - spytała, gdy wysiedli z samochodu. - Nie widzieli cię od ponad roku. Przestraszą się...

- To nie jest największy problem - odparł, dzwoniąc do drzwi.

Kobieta, która im otworzyła, miała około sześćdziesiątki i była dość przystojna na swój nacechowany poczuciem wyższości sposób. Ubrana była w nieskazitelnie wyprasowaną, lnianą suknię z paskiem, jasne pończochy i pantofle w kolorze kości słoniowej. Jej ciemne włosy, przeplecione pasmami srebrzystej siwizny, szesane były do tyłu i zebrane na karku w węzeł. Dyskretny makijaż podkreślał doskonałą rzeźbę kości policzkowych, arystokratyczny nos i usta, ułożone w uprzejmy, ale pełen dystansu uśmiech. Na szyi miała perły.

Nagle jej twarz rozjaśniła się radością, gdy rozpoznała syna, i cała dystynkcja zniknęła bez śladu.

- L.J.! - krzyknęła załamującym się głosem i osunęła na podłogę holu.

- Mamo! - Jones rzucił się do niej, chroniąc jej głowę przed uderzeniem o marmurową posadzkę.

Faith wbiegła do środka, aby poszukać wody do cucenia omdlałej pani Jones. Kobieta w stroju pokojówki zatrzymała się jak wryta o kilka kroków od nich, wykrzykując po hiszpańsku długą tyradę, z której Faith zrozumiała tylko słowo „policja”.

Na szczęście starsza pani szybko wróciła do przytomności i odwiodła pokojówkę od spełnienia tych gróźb.

- Na miłość boską, Juanito, przestań trajkotać - mówiła, gdy Jones pomagał jej się podnieść. - To nie bandyci, to mój syn. - Urwała i zmierzyła syna wzrokiem od stóp do głów. - A swoją drogą, co ty sobie wyobrażasz, pojawiając się tutaj

bez uprzedzenia prawie po roku? Nie napisałeś nawet najędniejszego listu. Myśleliśmy, że nie żyjesz!

To ci dopiero jęcza, myślała Faith, cofając się instynktownie. Wcale się nie dziwię, że Jones miał opory przed powrotem do domu. Czy ta baba ma w sobie jakieś macierzyńskie uczucia?

- Myślę, że powinienem ci pewne rzeczy wyjaśnić - Jones tłumaczył się tonem niesfornego nastolatka, który wgniółł mamusce błotnik w samochodzie.

- Z pewnością powinieneś - odparła, ale nagle jej oburzenie gdzieś zniknęło. - Mój Boże, co się ze mną dzieje? Po prostu nie mogę uwierzyć, że tu jesteś, że żyjesz!

Wreszcie Faith dojrzała łzę w oku starszej damy. Objęła syna mocno; on też tulił matkę w ramionach. To zaczynało przypominać normalne powitanie.

Pani Jones jednak szybko powściągała emocje.

- Twój ojciec mógłby dostać zawału - powiedziała, już tylko lekko pociągając nosem. - Dobrze, że nia ma go w domu. Muszę zadzwonić do klubu... I przekazać to bardzo delikatnie.

- Dobrze, mamusiu, ale zanim to zrobisz, chcę ci przedstawić kogoś, kto wiele dla mnie znaczy. Poznaj Faith Kimball. To, że wróciłem, w dużym stopniu zawdzięczam właśnie jej...

Faith miała ochotę zapaść się pod ziemię, gdy pani Jones zaczęła przeprowadzać wzrokową inspekcję. Na szczęście trwała ona krótko.

- Miło mi panią poznać, pani Kimball. - Starsza pani wyciągnęła rękę na powitanie.

- Proszę mówić do mnie: Faith.

Pani Jones skinęła głową, ale nie odwzajemniła się podobną propozycją. Znowu zwróciła się do syna.

- Muszę teraz zadzwonić do twego ojca. - Poprowadziła

ich w stronę ogromnego pokoju na parterze. - Biedna Mary Lynn zupełnie się załamała po twoim zniknięciu. Była taka roztrzęsiona... - urwała nagle. - Ach, ty pewnie jeszcze nie wiesz...

- Że wyszła za mąż za „Dołączka” Dinsmore'a, chciałaś powiedzieć, prawda? Wiem, i uważam, że to najlepsza rzecz, jaką mogła zrobić.

- Wiec wiesz? No, cóż... - Pani Jones zmarszczyła brwi. - Nie byliśmy tym zachwyceni, wyobrażasz sobie. Całe miasto uważało, że postradała zmysły po twoim odejściu. Myśleliśmy, że zmieni zdanie, ale jednak wyszła za Dana. Twój ojciec do dziś prawie z nią nie rozmawia. Od dawna marzył o połączeniu naszych rodzin i zbudowaniu imperium. Muszę przyznać, że jej matka i ja też na to liczyliśmy.

- Mamo - przerwał Jones, patrząc z zakłopotaniem na Faith - pomówimy o tym później. Teraz zadzwoń do taty.

Reszta popołudnia upłynęła spokojnie. Jonesowie w gruncie rzeczy nie byli aż tak niesympatyczni. Stali się znacznie miłsi, gdy dowiedzieli się o roli Faith w „wyzdrowieniu” ich syna. Również informacja o tym, że niedługo otrzyma tytuł doktora, zrobiła na nich wrażenie. Nie wypytywali jej ani Jonesa o szczegóły ich zażyłości.

Niemniej jednak rodzice jej ukochanego byli najbardziej przestrzegającymi konwenansów ludźmi, z jakimi Faith dotąd miała do czynienia. Nawet w otoczeniu luminarzy świata nauki nie spotkała człowieka, który przebierałby się do codziennego obiadu, albo kobiety, która wkładałaby perły po południu.

Nic dziwnego, że Jones zamykał się w sobie i nauczył się nie uzewnętrzniać swoich stresów. W miarę upływu godzin spędzonych pod dachem jego rodzinnego domu, Faith widziała coraz wyraźniej, że przez całe życie próbował zadowolić

rodziców, co było praktycznie niewykonalne. Teraz na przykład cieszyli się z jego powrotu do domu i do zdrowia, ale nadal uważali jego zniknięcie za niewłaściwe i nie omieszkali dać mu tego do zrozumienia.

- Twoja kariera doznała uszczerbku i nie sposób będzie tego naprawić. Zdajesz sobie z tego sprawę? - wypominał ojciec w czasie obiadu składającego się z pięciu dań, do których poda- no trzy rodzaje wina. - Nie można tak po prostu zniknąć na rok i spodziewać się, że wszystko będzie na ciebie czekać.

- Oczywiście - zgodził się Jones.

Ojciec starannie wycierał usta serwetą.

- Pogadam ze starym Creaseyem. To starszy wspólnik w firmie L.J. - objaśnił, zwracając się do Faith.

- Nie ma takiej potrzeby. - Jones kroił mięso dość zapal- czywie, choć delikatna wołowina wprost rozpływała się w ustach. - Sam z nim porozmawiam. Firma zawsze potrze- buje dobrych obrońców procesowych. Może Creasey obetnie mi pensję, ale raczej nie odmówi zatrudnienia.

Faith o mało nie udławiła się kawałkiem steku. On chyba żartuje?

- Najpierw obetniesz włosy - powiedziała pani Jones z kolejnym grymasem dezaprobaty.

Faith ugryzła się w język, żeby nie wtrącić swojej uwagi. Włosy Jonesa wyglądały bardzo dobrze obcięte właśnie tak, jak teraz.

Gdy przeraźliwie długi obiad wreszcie się kończył, Faith prawie spodziewała się, że panowie przejdą do biblioteki na szklaneczkę brandy i cygaro. Na szczęście nie miała szans tego sprawdzić. Rozległ się dzwonek u drzwi, a po chwili do jadalni wpłynęła niezwykle efektowna brunetka i rzuciła się Jonesowi w ramiona.

- Och, L.J., to naprawdę ty! - pisała, po czym cmoknęła go prosto w usta.

Jones zaczerwienił się.

- Hmm, jak się masz, Mary Lynn.

Pani Jones złapała Faith za rękę.

- Może wyjdziemy na patio - zaproponowała, ciągnąc ją mało delikatnie w kierunku oszklonych drzwi. - Lawrence?

- Po raz pierwszy zwróciła się do męża po imieniu. - Pokażemy naszemu gościowi twoją kolekcję drzewek bonsai.

I zostawimy w spokoju tragicznie rozdzielonych kochanków na czas ich wzruszającego spotkania, dodała w myśli Faith. Jones rzucił w jej stronę błagalne spojrzenie; wszystko dawno wymknęło się spod jego kontroli. Faith kiwnęła mu głową ze zrozumieniem, choć czuła wyraźne ukłucie zazdrości. Była narzeczona przykleiła się do niego jak sadzone jajko do patelni.

- No tak... - zaczęła pani Jones po obejrzeniu kolekcji drzewek, gdy pan Lawrence Jones senior taktownie zniknął z pola widzenia. - Jestem jednak ciekawa... hmm, czy wasza przyjaźń z L.J. to jakaś poważna sprawa?

- Tak - odparła Faith bez wahania. Nie chciała trywializować swoich uczuć do Jonesa, nawet dla świętego spokoju.

- Ale proszę się nie obawiać. Nie zamierzam wychodzić za niego za męża.

- Ach... cóż, to dobrze. Nie dlatego - dodała pośpiesznie - żebym miała do ciebie jakieś zastrzeżenia. Jesteś naprawdę bardzo miłą dziewczyną. Obawiam się jednak, że po tym wszystkim, co mój syn przeszedł, powinien najpierw uporządkować swoje życie i nie angażować się od razu poważnie.

- Jestem tego samego zdania - odparła Faith.

Gdy Jones wyszedł na patio, był już sam.

- A gdzie jest Mary Lynn? - zapytała matka.

- Wróciła do domu. Do swojego męża - wymówił z naciskiem ostatnie słowo. Wyglądał na niezadowolonego. - A ja i Faith też musimy już jechać.

- Chcesz powiedzieć, że nie zostajesz z nami? Ręka pani Jones powędrowała w kierunku szyi.

- Nie. Przenocuję w Dallas - powiedział, nie dodając żadnych szczegółów. - Za kilka dni zamieszkam z powrotem w swoim domu, więc wkrótce was odwiedzę. Pożegnaj ode mnie tatę. - Pocałował matkę w policzek, po czym wraz z Faith szybko wyszli.

- Masz szminkę na podbródku - zauważyła, kiedy znaleźli się w samochodzie. -I to na pewno nie moja.

- Czyżbyś była zazdrosna?

- A cóż ty myślisz? Atrakcyjna kobieta rzuca się na ciebie i całuje cię w usta... Co miałam czuć?

- Ona... była bardzo wzruszona.

- A o czym rozmawialiście?

- Wierz mi, to nie była przyjemna rozmowa. Najpierw zrugła mnie, że sprawiłem jej tyle zmartwienia bez powodu. Napomknąłem, że z tego zmartwienia od razu rzuciła się w ramiona innego mężczyzny. Wtedy zjeżyła się i zaczęła wiercić mi dziurę w brzuchu na twój temat. Wyobraź sobie, ona mnie oskarżała o niewierność!

- To sobie rzeczywiście trudno wyobrazić. - Faith była naprawdę zaskoczona. - Myślałam, że przesadzasz, kiedy się martwiłeś, jak cię tu przyjmą. Byłam pewna, że wszyscy poczują się szczęśliwi i wzruszeni, i oczywiście ci wybaczą. Tymczasem twoi rodzice tylko krytykowali, a ukochana narzeczona...

- Była ukochana narzeczona - poprawił Jones.

- Niech ci będzie. Tak czy owak obchodziły ją tylko jej pokazowe cierpienia, a nie to, co ty przeszedłeś. Przecież byłeś jej wiemy aż do chwili, kiedy dowiedziałeś się o ślubie.

- Co kosztowało mnie sporo wysiłku - powiedział, gładząc ją po ramieniu. - Posłuchaj, Faith, tak mi przykro z powodu tego wszystkiego. Chciałem cię przekonać, że moi ro-

dzice mogą być całkiem znośnymi teściami, a oni zachowali się tak okropnie.

Teściami, powtórzyła w myśli Faith. Jego matka podsunęła jej całkiem dobrą linię obrony. Mogą przecież być razem, odkładając na razie małżeńskie plany. Martwiło ją tylko to, że będzie musiała ukrywać swoje intencje, choćby nawet robiła to dla jego dobra.

Już nic nie mówiąc, pojechali do mieszkania Faith. Tam przyjrzała się Jonesowi uważniej, dostrzegając zmarszczone czoło i zaciśniętą linię ust.

- Czyżby znowu bolała cię głowa? - zapytała. Wcale się nie dziwiła, że państwo Jonesowie mogli przyprawić człowieka o ból głowy.

- Rzeczywiście, zaczyna się. Gdzie masz apteczkę?

Faith wyciągnęła do niego rękę i poprowadziła w kierunku kanapy.

- Daj spokój pigułkom. Spróbujemy czegoś innego. Wyciągnij się wygodnie i połóż mi głowę na kolanach.

Jones spojrzał na nią z powątpiewaniem, ale usłuchał.

Zaczęła lekko masować jego kark, potem skronie. Kiedy zamknął oczy, mówiła miękkiem, uspokajającym głosem:

- Wyobraź sobie, że wypłynąłeś na ryby. Rzuciłeś kotwicę w pięknym, słonecznym miejscu; w łodzi masz zapas zimnej ziołowej herbaty. Wieje leciutki, odświeżający wiatr...

- I ty też tam jesteś?

- Jeśli chcesz...

- Bardzo chcę.

Czuła się dziwnie uszczęśliwiona jego odpowiedzią.

- No dobrze. Więc świeci słońce, wieje lekki wiatr...

- Faith, czy ty nie chcesz wyjść za mnie za męża?

- Och, Jones - westchnęła, zupełnie wytracona z równowagi. - W moim i twoim życiu tak wiele się teraz dzieje. Muszę pomyśleć o obronie, potem o znalezieniu pracy. A ty

zaczynasz swoje życie praktycznie od nowa. Małżeństwo nie powinno komplikować nam życia. Powinieneś dać sobie czas...

Usiadł raptownie, przeczesując palcami rozwichrzone włosy.

- Czas? Czasu dla siebie mam już po dziurki w nosie! Faith, myślałem, że mnie kochasz. Tak mi mówiłaś. Czyżby to była tylko litość?

- Kocham cię - odpowiedziała natychmiast, przerażona jego podejrzeniami. - Miałam tylko wrażenie, że to nie jest najlepsza pora na taką decyzję. Ona będzie dotyczyła całego życia.

- Ach, rozumiem - Jones spojrzał na nią tak dziwnie, że aż się przestraszyła. - Obiecałaś być ze mną do końca, bo myślałaś, że ten koniec nastąpi dość szybko. Miałem być dla ciebie „przypadkiem do obserwacji”, studium ludzkiego zachowania w obliczu śmierci. Tak mi przykro, że jeszcze trochę żyję...

- Nie mów takich okropnych rzeczy! Ani przez chwilę... Jones wstał i zwrócił się w stronę drzwi.

- Dokąd idziesz?

- Do hotelu. Sam poradzę sobie z moim bólem głowy.

- Nie ma mowy. - Zagroziła mu drogę. - Nie możesz rzucać takich oskarżeń i nie dać mi szans na obronę.

Skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o ścianę.

- Proszę bardzo, broń się. Wiem, że obracanie językiem nieźle ci idzie.

- Chciałam, żebyś sam doszedł do prawdy o sobie, ale nie pozwalasz mi na to. Być może powinnam powiedzieć ci ją na samym początku.

- Co to za prawda?

- Chodzi o rolę stresu w twoim życiu. Stres omal cię nie zabił. Przyprawia cię o bóle głowy i mógł mieć swój udział



w rozwoju guza mózgu. Lekarze od dawna badają związek między stresem a rakiem. Już są wyniki. Gdy usunąłeś stres ze swego życia, natychmiast poczułeś się lepiej. Rozumiesz, o czym mówię?

Ledwie dostrzegalnie skinął głową.

- Teraz już wiesz, że masz życie przed sobą, ale od jak dawna? Upłynęło od tej chwili niewiele ponad dwadzieścia cztery godziny. I co? Łapiesz się najprędzej jak możesz za wszystko, przed czym chciałeś uciec. Wybierasz się do tego tam Creaseya, żeby wrócić do pracy, zamierzasz się znowu zaręczyć. Dwie rzeczy, które kiedyś sprawiły, że wolałeś stanąć twarzą w twarz ze śmiercią niż żyć. Wróciłam, żeby zmierzyć się z nią razem z tobą. Myślałam, że nie masz wyboru. Ale teraz, mój drogi, wiem, że masz wybór i nie zamierzam biernie przyglądać się temu, jak będziesz się znowu wykańczał. W szczególności nie zamierzam sama brać w tym udziału.

Jones zbladł jak papier pod warstwą opalenizny. Cały gniew gdzieś wyparował. Patrzył nie widzącym spojrzeniem na ścianę, ruszając nerwowo szczęką, myśląc nad czymś intensywnie.

- Mój Boże, Faith, masz rację- powiedział w końcu. - To wszystko zadziało tak automatycznie, jakbym był zaprogramowany, a te wszystkie miesiące nad Caddo Lake nic nie znaczyły. Czyżbym naprawdę niczego się nie nauczył?

- Nie wiem. A jak myślisz?

- Chciałbym wierzyć, że tak, ale to niesłychane, jak łatwo wraca człowiek do starych przyzwyczajeń. Niedługo pewnie zacząłbym jeść chipsy i inne paskudztwa, przestałbym trenować...

Faith milczała. Czuła, że on sam powinien rozwiązać ten problem do końca, tak jak ona musiała przemyśleć to i owo po swoim wypadku.

- Jeśli jednak nie wrócę do dawnej pracy, to co mam robić? Skończyłem prawo w jednej z najbardziej renomowanych uczelni, potem pracowałem pod kierunkiem jednego z najlepszych prawników w kraju. Nie mogę tak po prostu o tym zapomnieć.

- Przecież tego nie lubisz?

- Zgadza się, ale co dalej? Mam być darmozjadem? Nie umiem tak żyć. Nawet pływanie w jeziorze i łowienie ryb może się znudzić.

- Jeszcze niedawno ci się podobało.

- Bo myślałem, że moje życie się kończy. Teraz muszę zrobić z nim coś rozsądnego. Nie chcę go po prostu zmarnować.

- Weź się do czegoś, na co miałbyś ochotę.

Jones zamilkł na bardzo długi czas. Faith gryzła wargi ze zdenerwowania. Jego przyszła pomyślność, a być może również los ich dwojga zależał od tej chwili. Miała ochotę potrząsnąć nim, żeby mógł spojrzeć jaśniej i zrozumieć siebie. Ona miała na to kiedyś całe tygodnie rekonwalescencji. On miał tylko jeden dzień.

Gdy przemówił znowu, wolno i ostrożnie dobierał słowa:

- Mógłbym otworzyć własną praktykę. Wynająć małe biuro tu, w Holland.

- Myślisz, że to byś właśnie lubił?

- Interesuje mnie zawód prawnika. To tylko wielkie bankowe afery, gdy walka w sądzie toczy się godzinami, a miliony ludzi ważą każde twoje słowo, przyprowadzają mnie o taki stres. Lubię pracować z ludźmi, pomagać rozwiązywać im ich problemy. I podoba mi się pomysł, że sam będę sobie szefem.

- Własne biuro to spora odpowiedzialność - ostrzegła Faith.

- Nie bardziej stresująca niż to, co poprzednio robiłem - mruknął w zamyśleniu. - Tak... Prawo rodzinne, zarządza-

nie własnością, spory z drogówką - czemu nie? Mogę przyjmować tylko to, co mi będzie odpowiadało... mieć kontrolę nad źródłami stresu, prawda?

- Tak mi się wydaje.

- Zatrzymam chatę nad Caddo Lake. Kiedy zacnie mnie boleć głowa, rzucę wszystko i wyniosę się, aby łowić ryby. Może zresztą już nie będzie mnie boleć, bo i dlaczego?

Im więcej mówił na ten temat, tym bardziej zapalał się do swego pomysłu. Zdawał sobie sprawę, jak ważną rolę odegrała Faith w przełamaniu stereotypów jego myślenia, choć najważniejsze, że sam to zrozumiał. Zobaczył, że zawsze starał się robić to, czego od niego oczekiwano, a nie to, co naprawdę czyniło go szczęśliwym.

Nagle podniósł oczy. Faith prawie fizycznie odczuła jego przenikliwe spojrzenie.

- Prawie zapomniałem, od czego zaczęła się ta dyskusja. Teraz rozumiem, dlaczego nie chcesz wyjść za mnie za męża. Zakochałaś się w rybaku, który umiał żyć na luzie, a ten zamienił się w zestresowanego prawnika.

- Mniej więcej - odpowiedziała cicho Faith.

- Co byś powiedziała na coś pośredniego?

- Nie rozumiałeś zasadniczej rzeczy - mówiła powoli. - Ty wcale nie chcesz się żenić. Twoje ciało powiedziało „nie”.

- Moje ciało... - zastanowił się. - Ach, rozumiem. Tamte zaręczyny były też powodem choroby, czy tak?

Faith ponuro skinęła głową.

- Masz trochę racji. To prawda, że ile razy myślałem o weselu, aż mnie ścisnęło w żołądku. Ale to dlatego, że chodziło o Mary Lynn. Nie kochałem jej. Teraz jest zupełnie inaczej. Kocham cię. Ta miłość mnie uzdrowiła, sprawiła, że odnalazłem swoje prawdziwe „ja”. Dla mnie jesteś najważniejszym powodem do życia i nie mogę wyobrazić sobie niczego lepszego dla mojego zdrowia niż małżeństwo z tobą.

- Ale... - Nagle jej obawy wydały się płonne. Może on jednak ma rację? Poczowała przypływ nadziei.

- Jeśli zaś obawiasz się, że długie narzeczeństwo może mi zaszkodzić, mam znakomite rozwiązanie. Romantyczna ucieczka: lecimy dziś do Vegas i pobieramy się.

Faith zaniemówiła. Całkiem zwariował, pomyślała. Jego entuzjazm był tak zaraźliwy; zaczęła poważnie rozważać szokujący plan.

Jones ujął jej dłonie w swoje.

- Naprawdę, zrobmy to, Faith. Jedziemy na lotnisko i wsiadamy w pierwszy samolot do Vegas, w którym będą dwa wolne miejsca. Kocham cię, Faith, i pragnę być z tobą przez resztę mojego życia, czy będzie to oznaczało parę tygodni, czy sto lat. Nigdy niczego nie byłem aż tak pewny.

Jeśli Faith miała jeszcze jakieś wątpliwości, teraz zniknęły. W jego oczach widziała taki bezmiar przywiązania i miłości.

- Dobrze - powiedziała po prostu.

Jones uśmiechnął się i pocałował ją, czule i słodko.

- Weźmiesz ze sobą te jedwabne czarne szmatki? - zapytał, zabawnie prowokującym gestem wsuwając palec w rozcięcie jej bluzki.

Po kilku minutach stali już w drzwiach, zbierając zapakowane w pośpiechu bagaże, by odlecieć we wspólną przyszłość.

## EPILOG

Faith siedziała na drewnianych schodkach domu, patrząc, jak ciepłe słońce wypija resztki porannej mgły. Najbardziej lubiła tę właśnie porę dnia, kiedy świat wokół budził się do życia, a letni upał nie dawał się jeszcze we znaki. Dwumiesięczna córeczka gruchała słodko przy jej piersi. Było jej tak dobrze.

Dwa lata temu pobrali się z Jonesem w nietypowej, ale niezwykle romantycznej scenerii i dotąd ani przez chwilę nie żałowała tego kroku.

Jej wzrok przyciągnął jakiś ruch w oddali. Przez resztki mgły przedarł się ciemny kształt, przybierając znajomą postać tęgiej kobiety. Kierowała kanoe w stronę wyspy.

Faith wydała okrzyk zdziwienia. Miss Hildy! Stara znachorka zniknęła bez słowa zeszłej jesieni. Oboje z Jonesem obawiali się najgorszego.

Położyła dziecko na materacyku i zbiegła po schodach w stronę wody.

- Miss Hildy! - wołała, brodząc w płytkim mule i ciągnąc łódkę do brzegu. - Gdzie pani się podziewała? Byliśmy chorzy ze zmartwienia. - Złapała starą kobietę w objęcia.

- Na Boga, moje dziecko, opamiętaj się - protestowała Hildy. - Czy człowiek nie może pojechać na krótkie wakacje? O co takie larum?

- Wakacje? Ależ pani zniknęła na tyle miesięcy! Dlaczego nic nam pani nie powiedziała? - pytała Faith, prowadząc znachorkę do chaty.

- Bałam się, że stchórzę w ostatniej chwili i wyjdę na głupią. Pojechałam na zimę do Meksyku i zostałam tam dłużej, niż zamierzałam.

- Do Meksyku? - Faith aż przystanęła. - Myślałam, że pani nigdy...

- Bo rzeczywiście nigdy nie ruszałam się z miejsca, choć zawsze marzyłam o tej podróży. Oszczędzałam pieniądze, ale musiałam czekać trzydzieści lat, żeby się wreszcie na to zdobyć. Pomyślałam, że skoro Jones potrafił opuścić te bagna, to i ja będę umiała.

- To cudownie - ucieszyła się Faith. - I co, podobało się?

- Pewnie. Jak tam wszystko rośnie! Otworzyłam stragan z warzywami i w trzy miesiące zwróciła mi się podróż. Chyba pojedę tam znowu w przyszłym roku. - Obejrzała Faith od stóp do głów. - Zaokrągliłaś się trochę - zauważyła.

Faith ujęła starą kobietę za rękę.

- Muszę pani kogoś przedstawić - powiedziała.

Hildy aż krzyknęła z zachwytu, widząc śpiące na materacyku maleństwo.

- Patrzcie, patrzcie, jakie toto śliczne! Mogę potrzymać?

Faith podniosła niemowlę i podała Miss Hildy, która ujęła małe ciało zadziwiająco wprawnym, macierzyńskim gestem.

- Tata chciał ją nazwać Hildy...

- O Jezu, po co ubierać cudną kruszynkę w takie brzydkie imię? - pytała, gdy sadowiły się z dzieckiem na schodach, choć jej oczy błyszczały ze szczęścia na myśl, że Jones tego chciał. - Chyba daliście temu spokój?

- Ja nie, ale wtrąciła się babcia Jones, zamierzając dać dziecku rodzinne imię. Swoje, oczywiście. Wtedy musiałabym uhonorować również drugą babcie, czyli moją mamę, i tu sprawa upadła Helen Ellen Jones brzmi całkiem do niczego.

- No i co? - spytała Miss Hildy.

- Ma na imię Rachel.

Hildy odpowiedziała uśmiechem na słodki uśmiech dziecka na jej kolanach.

- Pasuje do niej. A jak się miewa Jones?

- Wspaniale. Praktyka świetnie się rozwija. Zdarza się, że muszę go siłą wyciągać zza biurka.

- A twoja praca?

- Na razie zostawiłam ją w spokoju. Rok zajęło mi znalezienie odpowiedniej posady na uniwersytecie Baylor, w rozsądnej odległości od Holland. Niedługo potem zaszłam w ciążę, a moi koledzy mieli dość staroświeckie poglądy na temat kariery naukowca z dzieckiem przy piersi.

- I co z twoją anter...pologią? - pytała Hildy. - Przecież jej nie porzucisz?

- Nie, będę miała zajęcia w szkole średniej w Holland. Bardzo się na to cieszę. Szkoła blisko i tych godzin nie będzie tak wiele.

- A teściowie? Kiedyś miałas z nimi nieco problemów...

- Odkąd urodziła się Rachel, to już są inni ludzie. Gdyby pani słyszała te „niuniu” i „gugu” w wykonaniu babci Helen! Zupełnie niedystyngowane. Nawet nie pisnęła, kiedy mała zwymiotowała na jej nowy kostium. Może kiedyś wybaczą nam również ten ślub w Vegas.

Także Mary Lynn została przyjaciółką rodziny. Prawie w tym samym czasie urodziły swoje pierwsze dzieci. Dinsmore'owie mieszkali tak blisko, zaczęły się więc wspólne debaty nad pieluszkami i porami karmienia. Mary Lynn okazała się naprawdę uczuciową, wrażliwą kobietą i Faith szczerze ją polubiła.

W tym momencie otworzyły się drzwi na werandę i stanął w nich bardzo jeszcze zaspany Jones. Faith z rozbawieniem obserwowała jego reakcję. Spojrzał na osobę siedzącą na schodach z jego dzieckiem na ręku, przetarł oczy z niedowierzaniem, po czym popatrzył znowu.

- Miss Hildy!

Stara kobieta oddała dziecko Faith i porwała Jonesa w miażdżący uścisk.

- Wreszcie cię widzę, ty niecny przystojniaczku! Właśnie zawarłam znajomość z twoją córką.

Jones przysunął sobie ogrodowe krzesło i przyłączył się do pań, ciekawy, co też działo się z Hildy przez zimę. Opowiedziała mu od nowa swoją historię. Faith oparła się o poręcz schodów i zamyśliła nad tym, jak wiele w życiu trzech osób zmienił jeden akt odwagi.

Gdyby Jones nie wyciągnął jej z płonącego samochodu, teraz nie byłoby jej pomiędzy żywymi. Gdyby ona nie przyjechała go odszukać, gdyby potem nie uparła się zostać, mieszkałby tu pewnie nadal, zdziwaczały i samotny. Hildy bardzo jej wtedy pomogła. A gdyby Jones nie znalazł w sobie odwagi, żeby pojechać na badania, stara machorka nie zdobyłaby się na zmiany w jej własnym życiu.

Rachel zasnęła. Jones bezwiednie wyciągnął ręce po dziecko. Uwielbiał trzymać maleństwo w ramionach, uwielbiał się nim opiekować. Położył sobie córeczkę na kolanach z niezmierną czułością; najlepszy ojciec, o jakim dziecko mogłoby marzyć.

- Faith, czy ty płaczesz? - zapytał po chwili.

Zamrugła oczami, ujmując jego dłoń ciepłym uściskiem.

- Nie, to tylko słońce świeci mi w oczy.

Pełne i jasne słońce.